MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 53 WARSZAWA, 19 GRUDNIA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

Z DYSKUSJI O TOTALIZMIE II

BEZRADNOŚĆ SZUKAJĄCA WYRĘKI

ZNAJĄC rzeczywistość, prawidła niezmienne życia oraz naturę ludzką, trzeba sobie powiedzieć, że wszystkie tego rodzaju pomysły są rozpaczliwem przyznawaniem się do bezradności.

Pierwszym ich źródłem jest pesymizm, czyli stwierdzenie, że stan dzisiejszy jest opłakanie zły. Drugim bezsilność, czyli przyznanie, że autorzy nie wiedzą, co robić i jak robić, ażeby było lepiej. Dlatego nie pracują nad konkretnemi zagadnieniami, jak naprawić administrację, ażeby się stała źródłem ładu i porządku, a przestała być narzędziem samowoli i ucisku, jak zmienić system podatkowy, ażeby uboższych nie doprowadzał do ruiny i nie mnożył nędzarzy przez biurokratyczną tępotę; jakie wydatki umniejszyć lub całkowicie skreślić, ażeby robić konieczne oszczędności; jak naprawić system szkolny, ażeby nie hodował obłudników, cyników oportunistycznych, oraz niedouków, którzy chwytają za wszystkie stanowiska, ponieważ i tak do żadnego nie są przygotowani; jak zmienić ubezpieczalnie, żeby przestały być pretekstem do przyznawania płac nieprzeliczonym rzeszom „swoich" ludzi, niezdatnych do żadnego zawodu, a zaczęły naprawdę leczyć chorych i opiekować się inwalidami pracy; jak dać pożyteczne zajęcie owym dziesięciu milionom tz. „niepotrzebnych" na wsi; jak zreorganizować przemysł, żeby nie zdzierał skóry z konsumentów i nie znajdował interesu w płaceniu milionów tym, którzy unieruchomią konkurencyjną fabrykę itd. itd.

Są to rzeczy trudne, ale możliwe — trzeba je tylko poznać gruntownie, a jeżeli się jest zainteresowanym, znajdzie się i sposoby naprawy, chociażby nie natychmiastowej. Tymczasem nasi totaliści nie chcą ich poznać, jak wogóle trzymają się zdaleka od wszelkiej rzeczywistości i codziennego życia. Poprzestają na potępianiu tego co jest, ale o konkretnej pracy nad powolnem poprawianiem złego nie myślą, bo to szczegóły, a oni są od ogólnych wytycznych. Szczegółów zaś jest zbyt dużo, a każdy znich zbyt trudny i żaden totalista nie wie, jak naprawić bodaj jeden z nich. A skoro nie wie, logika wskazywałaby, żeby nie mówił o tem, na czem się nie zna. Tymczasem umysłowość nasza ciągnie do tego, żeby mówić o tem, czego się nie wie.

Pamiętacie „Radę" z „Pana Tadeusza"? Stary Maciek stwierdza, że obecni nic nie wiedzą o tem, czy będzie wogóle wojna, a nawet o tem, kto rozpuszcza pogłoski o bliskiej wojnie. W całym świecie ludzie o zdrowych klepkach wobec tej stwierdzonej niewiadomości byliby się rozeszli do domów z tem, że się zejdą na naradę, kiedy coś poważniejszego się dowiedzą. Ale w Dobrzynie, tj. niestety w całej Polsce, właśnie w tym punkcie, w którym gdzieindziej byliby przestali, tutaj akurat zaczynają radzić: brak jakiejkolwiek wiadomości o przedmiocie obrad jest właściwym tematem chaotycznej i burzliwej, a szalenie długiej narady. Nic dziwnego, że taka narada kończy się błazeńską burdą.

I teraz brak jakiejkolwiek konkretnej znajomości rzeczy prowadzi do tego, że potworzyły się nie wiem jak to nazwać — odłamy, grupy czy partie, z których jedni wołają: „przełom", drudzy: „wstrząs" — jedni: „ład", drudzy: „ruch", a zaciekłość o te wyrazy bez treści doprowadza do wzajemnego wystrzeliwania się.

Totalizm jest naiwnem przyznaniem się do tego, że ludzie nie wiedzą ani co, ani jak trzeba robić. I dlatego wołają: niech ktoś za nas to zrobi. Wódz czy elita, czy nawet wódz z elitą, bylebyśmy nie potrzebowali sami suszyć sobie głowy o nudne i trudne szczegóły. Jest to zwalanie troski o naród i państwo na innych. Ale równocześnie jest to dokument zawstydzający, bo publiczne oświadczenie własnej absolutnej nieudolności.

Źródłem tego wołania: „Boże daj nam tyra-

na, ażeby nas uwolnił od troski o państwo i od własnej wolności, z którą nie wiemy co robić" jest lenistwo myślowe i poczucie własnej nieprzydatności. Ale takie przyznawanie się do nieudolności i nieprzydatności, to także dowód, żeśmy nie dorośli do zadania. Gdyby takie przyznawanie się wypływało z pokory, byłoby jeszcze niewielkiem złem, bo byłoby zachętą dla nielicznych, żeby zaczęli pracować i szukać, ażby wreszcie znaleźli sposoby naprawy. Tymczasem wypływa ono z pychy i zarozumiałości, ponieważ totaliści wmawiają w drugich, że oni jedyni wynaleźli niezawodny sposób na uratowanie ojczyzny, a każdy niedowierzający jest albo głupcem, albo niedobrym Polakiem. Dziwne naprawdę objawienie, które da się streścić w słowach: niech kto bądź inny zbawia Polskę za nas, byleby nas uwolnił od kłopotu i pracy!

Zastanawiające zaś jest, że zwolennikami totalizmu są przeważnie ludzie młodzi, którzy nie pamiętają czasów rozbiorczych. Niby to program wynika z następującego westchnienia: Jak słodko było żyć wtedy, kiedy sprawy państwowe rozstrzygał za nas Petersburg, Berlin i Wiedeń, a nam zostawiał lube próżnowanie oraz swobodę dąsania się i niezadowolenia! Do takich uczuć, gdyby nawet były bardzo żywe, nie wypada jednak przyznawać się, a już naprawdę nie godzi się dawać im publicznego wyrazu w wysnuwanych z ich podłoża programie. Nie jest to zresztą żaden program. To tylko pobożne życzenie, westchnienie do Boga, żeby się znalazł ktoś, kto wszystkich złapie za łeb i będzie sobie bez przeszkody wyrabiał co mu się żywnie podoba. Wzory ma: Hitlera i Stalina, ale może także dodać coś oryginalnego, własnego. Nie jest to więc ani program ani nawet polityka. Najwyżej jest to marzycielstwo na temat polityki. W epokach skłóconych, przejściowych, zdezorganizowanych, ludzie uciekali od rzeczywistości do marzeń politycznych. Takiem marzeniem jest dzieło Tomasza Morusa o szczęśliwej krainie Utopii, czy króla Leszczyńskiego szczęśliwa Dumokala, czy Krasickiego wyspa Nipu. Ale ci autorzy znali twardą i nieponętną rzeczywistość, nad której poprawą pracowali wedle sił, a tylko dla wytchnienia marzyli o innych, lepszych ludziach i światach.

Nasi publicyści tem się od tamtych różnią, że rzeczywistości nie znają i poznać nie chcą, a marzenie o tem, jakby to było dobrze, gdyby wszystkie trudności, brzydoty, występki zostały w kraju załatwione, ukrócone, wyrównane przez jakiś wszechmocny rząd, uważają za prawdziwą pracę polityczną. Przypominają mi jednego z moich młodzieńczych przyjaciół (już dawno umarł), który po przeczytaniu wschodniej powieści pt. „Nieprzepłacony pierścień", resztę niedługiego życia przepędził na marzeniu coby robił, gdyby miał ten cudowny klejnot. Pierścień ten bowiem przekręcony na palcu wywoływał według owej bajki przepotężne duchy, które spełniały każde życzenie wywołującego. Marzył więc ten biedaczysko, jak powstają pałace, znika nędza, tworzą się państwa itd. — gdyby miał taki pierścień. I nasi pubjicyści marzą w ten sam sposób, jak byłoby wygodnie żyć w Polsce, gdyby wszechwładny jakiś rząd, powołany przez wodza czy elitę, usunął nędzę, skasował trudności społeczne, narodowościowe itd. Czytałem nawet jednego totalistę, który żądał, żeby Polska objęła hegemonię nad wszystkimi państwami i ludami Europy środkowej od Bałtyku do Adriatyku, Morza Egejskiego i Czarnego. Buńczucznie dodawał, że gdyby te narody i państwa nie chciały poddać się owej hegemonii, to Polska powinna je zmusić. A jakże! Bardzo skromne żądanie, za skromne. Przecież można jeszcze napisać, że Polska powinna objąć hegemonię nad Europą — zresztą po co i to ograniczenie? — nad całym światem, Marsjanów nie wyłączając. Byłby to równie realny program polityczny, jak tamten obejmujący wszystkie kraje od Finladii do wyspy Krety.

I to jest najsmutniejsze, że ci publicyści uważają pisanie takich rzeczy za realną pracę polityczną na pożytek narodu i państwa. Drwił niegdyś Słowacki, że na Krymie każda góra ma kształt sonetu. U dzisiejszych pisarzy totalistycznych już nie humorystycznie, ale całkiem realnie, każde zagadnienie polityczne, społeczne, gospodarcze przybiera kształt artykułu dziennikarskiego. Dowie się taki pan o jakiejś kwestii, którą uznaje za ważną — czasami takie zagadnienie przychodzi mu samo do głowy — i wtedy siada za biurkiem, a kiedy kropnął artykuł, jest przekonany, że albo już całkiem zbawił ojczyznę, albo przynajmniej w walny sposób przyczynił się do tego zbawienia. Wszakże zwrócił uwagę na nową kwestię i dał wytyczne, w jakim duchu powinna być rozstrzygnięta. Sposób, jak się takie rzeczy wykonywa, nie jest już jego rzeczą, bo on nie jest od szczegółów. Zdziwiłby się taki młodzieniec, gdyby mu powiedziano, że skoro wie, coby należało zrobić, jest jego obowiązkiem zabrać się samemu do tej roboty.

A my przed wojną właśnie tak postępowaliśmy. Kto wpadł na pomysł, że coś przydałoby się zrobić, odrazu zabierał się do wykonania tego pomysłu, a jego metoda znajdowała wkrótce naśladowców. Dzisiaj każdy czuje się powołanym do ogłaszania, jakie sprawy domagają się załatwienia, ale czeka — niech inni to zrobią. A ponieważ każdy, co umie wziąć pióro w rękę, albo wygłosić mówkę do kolegów, uważa się od razu za coś wyższego, za uwolnionego od „czarnej roboty", więc prace wszystkie leżą odłogiem, bo wszyscy czekają, aż wykona je ktoś inny. I tu krzykliwi antysemici ani się spostrzegają, jak bardzo zżydziałe mają dusze. Przecież to jest cecha charakterystyczna żydów, że unikają wszelkiego wysiłku fizycznego, grubej, ciężkiej roboty, zachowując dla siebie tylko robotę „delikatną". I u nas ludzie, którzy umieją napisać artykuł, dzielą pracę na niższą, poniżającą i na lepszą, przysługującą elicie. Prowadzenie pługa, czy rozwożenie nawozu, to robota ordynarna, nizka — pisanie artykułów to zajęcie wyższe.

A my przed wojną, przynajmniej w tej poniewieranej przez bezmyślnych pyszałków Galicji, uważaliśmy każdą potrzebną robotę za uszlachetniającą, za to ludzi dzieliliśmy na przydatnych, pożytecznych i nieużytków. Nie ma roboty ani wielkiej, ani małej w sprawach publicznych, bo każda robota pożyteczna jest wielką równocześnie.

Z powodu podzielenia robót na wyższe, średnie i niższe, podzielono w duszy ludzi na tych, którzy są zobowiązani do roboty wykonawczej, oraz takich, którzy dają tylko wytyczne. Zbiorowego, wspólnego działania nie ma Dla zapewnienia sobie posłuchu głosi się pożyczoną z zagranicy hierarchię i dyscyplinę. Na nieszczęście ta

hierarchia i dyscyplina zamiast być środkiem stała się głównym celem. Według totalistów na tem ma polegać stała organizacja narodu, na długą przyszłość czy też na zawsze.

Faszyści, podejmujący „marsz na Rzym", a z nim likwidację anarchii powojennej, potrzebowali zdyscyplinowanej hierarchii. Potrzebowali jej i później naprzód na przygotowanie, a potem na skuteczne przeprowadzenie wojny abisyńskiej: był to zatem środek mający ułatwić osiągnięcie zamierzonego celu, środek, polegający na zmilitaryzowaniu społeczeństwa. Dla przeprowadzenia wojny Włosi przeprowadzili organizację wojenną, czy wojskową narodu. Tak samo Niemcy. Przez zmilitaryzowanie narodu hitlerowcy osiągnęli władzę, a teraz przygotowują się do wojny, która może już niezadługo wybuchnie, bo jest tylko kwestją czasu. Nasi militaryści o żadnej wojnie nie myślą. Gdyby ktoś głosił przygotowania do wcielenia Gdańska, Prus Wschodnich, Opola czy całego dorzecza Odry od Podmokłego (Bodenbach) w Czechach do Szczecina nad morzem, ogłoszonoby go za wariata i wszyscy przyjaciele wyrzekliby się go od razu. Jeżeli zaś od myślenia o tej wojnie powstrzymuje tylko respekt przed potęgą niemiecką, to Czesi takiej groźnej potęgi nie przedstawiają. A przecież nikt również nie myśli na serio o odebraniu im bronią powiatu frysztackiego i reszty cieszyńskiego, które niewątpliwie są polskie. Mussolini po objęciu władzy siłą, zapowiedział, że pierwszą potrzebą jaką w najbliższym czasie będzie musiał zaspokoić, jest wykształcenie 40 000 fachowców. A przecież Włochy nie cierpiały tak bardzo na brak fachowców bo i przed wojną były już oddawna państwem niezależnem, posiadającem rodzimy świat urzędniczy, a w nim całe mnóstwo pierwszorzędnych fachowców. Polska tymczasem na sześciu siódmych swojej przestrzeni nie miała żadnych fachowców. Tem bardziej teraz ich potrzebuje. A chyba nikt nie powie, że rozkaz, jedyna forma, w jakiej objawia się na zewnątrz hierarchia i dyscyplina, jest właśnie szkołą fachowców.

Uważam to natarczywe akcentowanie hierarchii i dyscypliny za szkodliwe z dwóch powodów. Jako naród w dziewięciu dziesiątych naszej duszy jesteśmy narodem wschodnim, do służbistości i służalstwa nadmiernie skłonnym z natury. W ostatnich przedrozbiorowych latach byliśmy przynajmniej w warstwie szlacheckiej całkowitym wschodem bez żadnej domieszki rzymskiej, a nawet katolickiej, bo i nasza pobożność miała rysy nie francuskiego, hiszpańskiego, czy niemieckiego katolicyzmu, lecz raczej charakter obrzędowy.

Te praktyki zewnętrzne nie wpływały na dusze, nie urabiały przekonań, przeciwnie były przekupywaniem i przechytrzaniem Pana Boga, ażeby zbyt ściśle nie wglądał w postępowanie, które przynosiło wstyd prawdziwemu chrześcijaninowi. Nasi przodkowie nietylko brali modę ze wschodu, pasy, kontusze, rogatywki od Persów, buty i hajdawery od Turków, szable od Arabów i Turków, podgolone głowy od mahometan i kozaków, ale stosunek do chłopów wzorowali na stosunku muzułmańskich begów do prawosławnych chłopów Serbii, czy Bułgarii; handel zostawiali pogardzanym żydom, jak Turcy pogardzanym Grekom i Ormianom — jedynym zaś handlem chrześcijańsko-polskim, tak jak u Turków muzułmańskim, było handlowanie sumieniami i znaczeniem: mniejszy szlachcic sprzedawał głos i duszę magnatowi, a magnat potencjom ościennym — w Turcji też wszystkich można było kupić, wezyrów i sułtanów nie wyłączając. Jest to fakt symboliczny, że Sobieski musiał pod Wiedniem nakazać Polakom przewiązywanie prawego ramienia powrósłem, ażeby ich Niemcy mogli odróżnić od Turków. Byliśmy więc kompletnie i bez reszty narodem wschodnim. A objawiało się to w niegodnem, do zaparcia siebie posuniętem służalstwie niższych wobec wyższych. I dzisiaj, w brew lepszym tradycjom austriackim i pruskim, urzędnik nie czuje się podwładnym współpracownikiem przełożonego we wspólnej pracy, tylko osobistym sługą przełożonego. Jedni to robią z przymusu, aby nie stracić kawałka chleba, ale większość z powołania, z natury, z wrodzonego, wschodniego służalstwa. On musi komuś— osobie, nie sprawie, czy idei— służyć, bo się urodził z duszą niewolnika. Całe to urąganie romantyzmowi, indywidualizmowi, całe wyrzekanie się dorobku XIX wieku, owo wołanie o wodza, który wszystkich weźmie na munsztuk, wypływa z tej wschodniej psychiki, która potrzebuje pana, bo się czuje stworzona do niewoli. Za przykładem Europy dano tym wschodnikom wolność, a oni nie wiedzą co z nią począć i szukają na gwałt tyrana, ażeby ich od tego nieproszonego daru oswobodził.

JAN ZAMORSKI

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

W PIĘĆDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI

CZŁOWIEK, którego 50-tą rocznicę śmierci powinna była obchodzić w tym roku Polska, to naprawdę postać napoły legendarna, nie żeby jego życie obfitowało w jakieś nadzwyczajne wypadki, bo przecie ani wygnanie z kraju, ani uwięzienie przez wroga nie było dla Polaka-patrjoty epoki porozbiorowej wypadkiem raczej normalnym, aniżeli nadzwyczajnym: natomiast jest Kraszewski postacią nową, wyjątkową, napoły legendarną, przez swoją twórczość literacką. Pomyśleć sobie tylko: żył lat niemal 75, tworzył, jeśli pominąć dziecinne wierszyki, lat pięćdziesiąt sześć; to długo, ale przez ten czas napisał... trudno uwierzyć... przeszło siedemset tomów, w czem około pięćset tomów powieści i resztę wypełniają poematy, utwory liryczne i dramatyczne, wielkie i pomniejsze dzieła historyczne, opisy podróży publicystyka. Niektóre z tych pism, jak np. *Polska w czasie trzech rozbiorów*, do dziś dnia nie straciły wartości; ale swoje nieśmiertelne stanowisko w historji literatury i wogóle życia duchowego Polski, zawdzięcza Kraszewski powieściom.

Prawda, że wśród nich—wyznajmy otwarcie— niema ani jednej, któreby można było nazwać skończonem arcydziełem; są powieści tak piękne, jak *Klara*, *Boża czeladka*, *Dwa światy*, *Powieść bez tytułu*, *Chata za wsią*, *Mo-*

rituri, Rzym za Nerona, Stara baśń, Hrabina Cosel, ale czy jest choć jedna, któraby się pod względem artystycznym mogła równać z niektóremi powieściami Sienkiewicza, Prusa, Reymonta? Miał wprawdzie Kraszewski bardzo niepospolity talent powieściopisarski, ale — coprawda, to nie grzech — nie wyzyskał go w całej pełni, przynajmniej w powieściach większych: dlaczego? dlatego, że pisał zbyt pośpiesznie, a czasami nawet niedbale; miał niezmierną łatwość pisania, inaczej np. niż Sienkiewicz, który przy całym swoim genialnym talencie, nietylko się mozolił, ale wręcz męczył kiedy pisał. Niejednemu może trudno będzie temu uwierzyć, nie jeden może zapyta: jakto? styl który czaruje przedewszystkiem prostotą, tak nadzwyczajną prostotą, miałby być owocem usilnej męczącej pracy? przecie autografy jego utworów nie są tak pokreślone, jak np. autografy Balzaca. A jednak... Niechaj mi tu wolno będzie wtrącić jedno własne wspomnienie. W roku 1898 spędziłem lato na wyspie Ploumanach w Bretanii w gościnnym domu Brunona Abakanowicza, od młodości zaprzyjaźnionego z Sienkiewiczem. Byłem świadkiem pracy Sienkiewicza nad Krzyżakami; pisał od 8 rano do południa poczem wychodził na plażę, często blady ze zmęczenia. Raz na moje pytanie, co go tak męczy, odpowiedział dosłownie: „praca nad prostotą stylu”. Kraszewski miał także styl prosty, ale ta prostota była owocem nie pracy, tylko właściwie fenomenalnej łatwości pisania, na której temat powstała dykteryjka, że czasem, chodząc po pokoju, dwóm sekretarzom swoim, dyktował... dwie powieści: naprzemiany — jedno zdanie z jednej, drugie—z drugiej. Było tak, czy nie było, dosyć, że swoje powieści tworzył, raz jeszcze, zbyt szybko, że nie wkładał on nic usilnej i świadomej pracy nad ich artyzmem, bez której nie ma i być nie może arcydzieł sztuki.

*

Rzućmy teraz okiem na jego spuściznę powieściopisarską. Należy w niej rozróżniać dwa główne działy: powieść współczesna i powieść historyczna.

W powieściach współczesnych, obok obrazu społeczeństwa, wypowiadał Kraszewski — pośrednio albo i bezpośrednio—swoje własne zapatrywanie, jakiem społeczeństwo być powinno. W światopoglądach politycznych bywał bardzo chwiejny: raz unosił się nad polityką romantyczną, nad entuzjazmem, nad manifestacjami narodowemi, innym razem potępiał to wszystko. Zawsze jednak trzymał wysoko sztandar godności narodowej. W poglądach społecznych także dokonywały się przeobrażenia. Zrazu występuje jako satyryk, który burzy, nie buduje i zrazu potępia jakoby chorą cywilizację zachodnio europejską, przeciwstawiając jej niby zdrowy świat słowiański. Niebawem się jednak zreflektował, uświadamiając sobie coraz jaśniej, że cywilizacja zachodnio europejska jest w znacznej mierze tworem kościoła katolickiego, i w tym kościele widział deskę zbawienia dla ludzkości. Ale cóż, poznał jako tako filozofię Hegla i pod jej wpływem zaczął na kościół katolicki i wogóle na religię patrzeć krytycznie. Lecz znowu nastąpiła zmiana. Nauka, powiedział sobie, do niczego pewnego nie prowadzi, więc znowu przeciwstawił jej religię. Był jej wierny aż do śmierci, ale z zastrzeżeniami: ultramontanizmowi przeciwstawiał katolicyzm polski i wogóle chrystyjanizm. Przejęcie się chrześcijaństwem kazało mu zabrać głos w niezmiernie aktualnej sprawie — w kwestii włościańskiej; po roku 1830 on ją pierwszy u nas poruszył. Ale i tutaj był chwiejny: przed rokiem 1848 jaskrawo malował nadużycia szlachty wobec włościan, po roku 1848 dał się uwieść prądom reakcyjnym i zachwalał dawny, jakoby patryarchalny stosunek szlachty do włościan, aż wreszcie, kiedy rząd rosyjski podjął reformę uwłaszczania włościan, stał się jej gorącym rzecznikiem.

Chwiał się Kraszewski i w swoich poglądach na dobrobyt materialny kraju i raz jeśli nie potępiał to surowo krytykował pracę nad dobrobytem, drugi raz ją chwalił, póki nareszcie nie zdobył się na pogląd umiarkowany, że dobrobyt materjalny jest konieczny, ale pożyteczny o tyle tylko, o ile nie zagłusza w życiu pierwiastków idealnych; a ponieważ mu się zdawało, że jest ich w naszym narodzie mało, więc czasem, np. w Dzieciach wieku aż do przesady chłostał kulturę materjalną i — wrogo występował przeciwko emancypacji kobiet w Synach wieku i w Szalonej; bądź co bądź do dawnego lekceważenia kultury materjalnej już nigdy nie powrócił. Widzimy tedy, że i w poglądach społecznych był chwiejny; ale śmiało można powiedzieć, że nigdy nie był chwiejny w szlachetności uczuć, która zawsze bije z jego powieści społecznych.

Ich zakres jest jak na nowoczesne stosunki społeczne, dosyć szeroki, o tyle, że obejmuje zarówno szlachtę, i arystokrację jak lud wiejski — w jego stosunkach z sobą, z dworem i ekonomem z karczmą i żydem. Współczucie smutnej doli ludu, jego niewoli, jego nadmiernej pracy, jego hańbie— oto główna cecha i główna zasługa społeczna powieści ludowych; prym trzymają Ostap Bondarczyk, Jaryna, Chata za wsią, Ładowa pieczara, Jermoła. Charakterów dodatnich nie brak w tych powieściach, ale idealizacji niema — owszem, ciemnota, grzechy, a nawet zbrodnie są uwydatnione otwarcie, z tem bardzo ważnem zastrzeżeniem, że dno duszy chłopskiej jest tutaj szlachetne.

Cechą główną powieści szlacheckich jest nie współczucie, tylko satyra, która zrazu zdaje się być głównym celem powieści. W takiej np. w Latarni czarnoksiężkiej nie dostrzega Kraszewski żadnej jasnej strony szlacheckiego życia— same cienie! Lecz po roku 1848 satyra słabnie. Satyryk przedzierzga się w nauczyciela: uczy, jakim szlachcic być powinien; najbardziej typową pod tym względem jest powieść p. t. Dziwadła. Natomiast w stosunku do arystokracji nie zmienił się Kraszewski, jest względem niej satyrykiem zjadliwym—wystarczy przypomnieć takie powieści, jak Komedjanci, Dwa światy, Ramułtowie. Najpełniej jednak i najpiękniej wyraził swoje poglądy na arystokrację w powieści Morituri: potęga rodu arystokratycznego upadła tutaj wskutek przesądów stanowych, braku rachunkowości, a nadewszystko braku pracy; na arystokrację składają się sami konsumenci, jedynie zaś producenci mają rację bytu. Jest tedy ratunek dla arystokracji— praca społeczna: oto myśl przewodnia powieści Ostatni z Siekierzyńskich. Wolno z niej wysnuć ten wniosek, że arystokracja nasza o tyle może nadal istnieć, o ile... arystokracją być przestanie.

Lecz powieści ludowe i szlacheckie Kraszew-

skiego nie wyczerpują jeszcze całości jego powieści współczesnych; śmiało można powiedzieć, że nie było ani jednej ważniejszej sprawy życiowej, którejby on w swoich powieściach nie poruszył. A więc np. stosunek marzycieli, poetów i artystów do życia stanowi problem takich powieści, jak Sfinks, Pamiętniki nieznajomego, Powieść bez tytułu; dola i niedola nauczycieli i sprawa wychowania młodzieży — oto naczelne zagadnienie powieści: Metamorfozy, Jasełka, Kopciuszek i t. d.

*

A teraz — powieści historyczne. Odtwarzają one dziewięć wieków historji polskiej—od obrazu ludów słowiańskich przed powstaniem państwa polskiego (w Starej Baśni), aż do pierwszych lat porozbiorowych (Pod blachą).

Powieści, osnute na tle sześciu pierwszych wieków, od X do XV, są, z wyjątkiem poetycznej Starej Baśni, będącej owocem dojrzałego już talentu, słabe. Może nigdy pośpiech w pisaniu nie dał się artyzmowi tak bardzo we znaki, jak tutaj. A nadto nie zawsze umiał być Kraszewski, chociaż znał dobrze dostępne sobie źródła dziejowe, sprawiedliwym wobec postaci historycznych, uwydatniając z predylekcją ich ciemne strony, a jasne pozostawiając w cieniu albo w półcieniu. A i to jeszcze nie stanowi zalety tych powieści, że historia przestaje być często tłem i staje się główną treścią, co zresztą, mówiąc nawiasem, sprawiło, że mnóstwo czytelników uczyło się historii ojczystej dawnych czasów z tych właśnie powieści.

W powieściach z wieku XVI i XVII widać już znaczny postęp. Wystarczy wymienić Zygmuntowskie czasy, Powrót do gniazda albo jeszcze Historię o Jaszczu Korczaku i o pięknej miecznikównie. Wątek powieści wybija się tutaj na plan pierwszy i nieraz łączy się z tłem dziejowem w harmonijną całość.

Lecz najwyżej wzniósł się talent Kraszewskiego, jako pisarza historycznego, w powieściach z wieku XVIII. Nie we wszystkich naturalnie — bo niektóre są pisane jak to mówią, na łeb na szyję. Ale są i takie — nasamprzód w obrębie czasów saskich — jak Hrabina Cosel, Brühl, Z siedmioletniej wojny; te trzy należą do najlepszych utworów Kraszewskiego. Tło obyczajowe podmalowane wspaniale, intryga prosta i przeprowadzona świetnie, osoby scharakteryzowane bardzo plastycznie. Ale — są to raczej powieści saskie, aniżeli polskie. W powieściach polskich, jako to: Skrypt Fleminga, Wilczek i Wilczkowa, Starosta Warszawski, niema już wyrazistego tła historycznego, jest tylko szereg drobnych scen, luźnie z sobą spojonych. Treścią jest po większej części życie nie polityczne, tylko prywatne, i to nadewszystko jego strony ujemne (z wyjątkiem jednej tylko powieści — Pan na czterech chłopach). Ze stanowiska prawdy dziejowej główną wadą tych powieści jest prawie zupełne pominięcie tego faktu, że już za czasów saskich zaczęły napływać do Polski prądy reformatorskie na polu wychowania. O wielkim reformatorze oświaty szkolnej, Stanisławie Konarskim, zaledwie wzmianka.

Podobna jednostronność widoczna jest w powieściach z epoki stanisławowskiej: Maleparta, Diabeł, Staropolska miłość, Papiery po Glince, Ostatnie chwile księcia wojewody, Syn Marnotrawny itd. Mamy tutaj prawie wyłącznie obraz życia prywatnego w stolicy, malowany w strasznie ponurych barwach: orgiom, rozpuście, prywacie życia stołecznego przeciwstawia Kraszewski zacność staropolskiego życia na prowincji. I w tem właśnie tkwi zasadniczy błąd tej grupy powieści. Prawda, panowała w Warszawie za Stanisława Augusta demoralizacja, ale w życiu umysłowem dokonał się ogromny postęp. Z drugiej strony, prawdą jest, że na prowincji, w zaściankach szlacheckich, życie było moralniejsze, niż w Warszawie, ale i to nie ulega wątpliwości, że zacofanie umysłowe, ciemnota, bezmyślny konserwatyzm, panujące na prowincji, były dla państwa nie mniej niebezpieczne, jak demoralizacja obyczajowa stolicy. I ostatecznie nie zaścianki, tylko stolica zwyciężyła, nie bezmyślny konserwatyzm szlachecki, tylko idea postępu przemogła — nie tylko w literaturze stanisławowskiej, ale i reformach, uchwalonych na sejmie czteroletnim.

Warto jeszcze wspomnieć o dwóch powieściach historycznych, ale nie z dziejów polskich: Caprea i Roma i Rzym za Nerona. W pierwszej ogólna charakterystyka państwa rzymskiego za czterech cesarzów: Tyberiusza, Kaliguli, Klaudjusza i Nerona jest wysoce artystyczna, chociaż jednostronna o tyle, że autorowi chodziło nadewszystko o uwydatnienie ciemnych stron państwa rzymskiego, żeby je przeciwstawić światu chrześcijańskiemu. Natomiast druga powieść jest zupełnie wolna od tej jednostronności: bezstronność względem świata pogańskiego jest wprost zdumiewająca, przez co kontrast pomiędzy pogaństwem a chrześcijaństwem już nie jest tak ostry; powieść ożywia jakaś łagodna, rzewna, tkliwa, poetyczna wyrozumiałość.

*

Przejdźmy teraz od powieści do powieściopisarza. Jak przedstawi się — na podstawie twórczości Kraszewskiego — jego fizjognomia duchowa? Był to umysł wyjątkowo zdolny, lotny i fenomenalnie ciekawy. Nie było prawie żadnej gałęzi wiedzy ludzkiej, któraby go nie obchodziła — od młodości do śmierci, sam chciał wszystko wiedzieć. A do tego umysł niesłychanie giętki, z łatwością wyrzekający się dawnych poglądów i chwytający nowe. Szkoda, że ta rozległość i giętkość umysłu nie szła w parze z refleksją, z krytycyzmem, i stąd to właśnie płynęła chwiejność jego poglądów, któraby śmiało mogła pójść w przysłowie („chwiejny jak Kraszewski"), gdyby nie była cechą jeżeli nie ogromnej większości, to bardzo wielu polskich umysłów. Możnaby wprawdzie tłumaczyć tę chwiejność poglądów stopniowym ich rozwojem, gdyby się one nie raz nie kłóciły z sobą w jednych i tych samych dziełach, zwłaszcza pismach publicystycznych, np. w głośnych swego czasu Rachunkach Bolesławity. Całe szczęście jeszcze, że krańcowość umysłowa nie leżała w naturze Kraszewskiego: nie był on wtedy tak namiętnym wstecznikiem, jak np. Henryk Rzewuski ani też namiętnym postępowcem, jak dajmy na to, Świętochowski. Swiadomie, czy też mimowoli, dzięki takiej a nie innej naturze, dąży Kraszewski do zachowania w swoich poglądach złotego środka.

A jak o jego umyśle, tak i o jego uczuciu powiedzieć można, że się trzymało złotego środka:

miękkie, łagodne, nie znające ani bezdennej rozpaczy, ani niepomiernej radości, nie przechodzące ani w chłód, ani w czułostkowość; od chłodu broniła go wrodzona dobroć, od sentymentalizmu wrodzone usposobienie satyryczne. Przy takim usposobieniu nie potrafił tworzyć ani sytuacyj tragicznych, ani bohaterów tragicznych; miał predylekcję do ludzi albo miękkich sercem, albo też pospolitych; miękkich trochę idealizował, pospolitych ośmieszał, ale nie zawsze — czasem stawiał ich za wzór. Zato ludzi złych malował nie raz w barwach przejaskrawionych. Entuzjastą nie był; zapalał się czasem, ale na krótko, gwałtownych, romantycznych porywów uczucia nie szukać w jego powieściach.

Wyobraźnię miał bardzo bogatą: dosyć powiedzieć, że się w tak wielkim mnóstwie swoich powieści, ani razu nie powtarzał, nie kopiował samego siebie ani w postaciach, ani w sytuacjach. Głównem źródłem tej wyobraźni był ogromny zmysł obserwacyjny i ogromna łatwość kojarzenia doznanych wrażeń; stąd plastyka jest znamienną cechą jego talentu (z tem oczywiście zastrzeżeniem, że się nigdy nie wzniosła na wyżyny, osiągnięte w naszej powieści przez Sienkiewicza i Rejmonta). Najlepiej umiał odtwarzać to, co widział na własne oczy; dla tego to powieści o kraju, napisane w kraju, mają naogół biorąc, wyższość od powieści o kraju, napisanych zagranicą. Nie można jednak nie przyznać, że i w powieściach historycznych umiał tworzyć żywych ludzi na podstawie nie autopsii, tylko studjów nad źródłami dziejowemi.

Do tworzenia pomysłów i sytuacyj fantastycznych talentu nie miał; jego „fantazje" mają wtedy jedynie plastykę, kiedy są bliskie ziemi; tracą plastykę ilekroć się od ziemi oddalają. Krótko mówiąc wyobraźnia Kraszewskiego była nie „romantyczna", ale „realistyczna".

Nie dosyć na tem. Umiał on doskonale odtwarzać zewnętrzność człowieka, ale w głąb duszy sięgać nie umiał. Stąd powieści psychologiczne, np. P o d w ł o s k i m n i e b e m, nie należą do jego najlepszych utworów. Stąd charakterystyka ludzi o duszach nieskomplikowanych udawała mu się nieraz doskonale, ale potykał się zawsze w charakterystyce ludzi o duszach bogatych, a nietylko myśliciele, ale i artyści udawali mu się daleko gorzej niż ludzie przeciętni.

*

Tak przedstawia się — w najogólniejszych zarysach — fizjognomia duchowa Kraszewskiego. Powiedziano kiedyś, że jest to pod wielu względami duchowość typowo-polska, a to nadewszystko przez swoją połowiczność, przez umiarkowaną temperaturę zarówno myśli, jak uczucia. Może to i prawda. Ale co jest prawdą już nie może, tylko napewno, to to, że była w jego charakterze jedna cecha, której za typowo polską uznać niestety nie można. Jest nią wręcz nieprawdopodobna, żywiołowa fenomenalna pracowitość, dzięki której mógł tyle napisać; sam jeden talent nigdyby nie wydał z siebie takiego ogromu twórczości.

Ta zaś twórczość zapisała się trwale w naszem życiu duchowem.

Nie jest wprawdzie Kraszewski twórcą nowoczesnej powieści polskiej: jej twórcami są Krasicki i Niemcewicz, Skarbek i Bernatowicz, Jarczewska i Maria Czartoryska. Ale dopiero pod piórem Kraszewskiego nasza powieść nowoczesna przeszła z okresu niemowlęctwa w okres dojrzałości, tem więcej, że swojemi powieściami pobudził do twórczości powieściowej i innych autorów, i to nietylko młodszych, ale i starszych od siebie, żeby wymienić tylko Józefa Korzeniowskiego (który, mówiąc nawiasem, artyzmem przewyższał swego mistrza). Otóż śmiało można powiedzieć, że nie będąc twórcą powieści polskiej, jest Kraszewski twórcą tego ruchu powieściopisarskiego, który już w drugiej połowie XIX wieku zapanował w naszej literaturze niemal wszechwładnie. To pierwsza jego nieśmiertelna zasługa.

Drugą on sam najlepiej określił w tych słowach: „Krajowa literatura więcej osób obchodzić zaczęła i niektóre domy, dając dobry przykład, dozwoliły sobie na dziesięć tomów francuskich, kupić dwa polskie przynajmniej i odważyły się kłaść je otwarcie na stolikach salonu". Otóż tymi dwoma tomami były nadewszystko jego własne powieści.

A powieści te, mianowicie w pierwszej epoce jego twórczości, to znaczy przed wyjazdem z kraju przed rokiem 1863, budziły i podtrzymywały ducha narodowego oraz miłość literatury ojczystej, zachęcały do pracy społecznej i krzewiły znajomość przeszłości narodowej, zwłaszcza w kraju zabranym—na Litwie, na Wołyniu, na Podolu, na Ukrainie. To największa ze wszystkich zasług Kraszewskiego.

I dlatego to nietylko w historii literatury polskiej, ale wogóle w historii ducha polskiego odegrał on rolę niezmiernie doniosłą. I choćby nawet z czasem zupełnie przestano czytywać jego powieści i choćby nawet sądy o jego twórczości miały wypaść jak najsurowiej, i pomimo że więksi od niego zaćmili go swoim talentem i artyzmem, to jednak z tego stanowiska, jakie raz zajął w historii literatury polskiej i życia polskiego, nie strąci go nigdy nikt ani nic. Raz na zawsze pozostanie Kraszewski jednym z najzasłużeńszych pisarzy i obywateli, jakich miała Polska.

IGNACY CHRZANOWSKI

„MYŚL NARODOWA" jest wydawana kosztem prenumeratorów, prosimy więc Ich o nieodkładanie wpłaty a zarazem aby propagowali pismo w kołach znajomych i przysyłali adresy tych osób, któreby mogły „MYŚL NARODOWĄ zaprenumerować.

Apelujemy też do wszystkich, którym na wydawnictwie zależy, aby pamiętali o konieczności zasilania FUNDUSZU PRASOWEGO „MYŚLI NARODOWEJ".

Wielki czas odnowić przedpłatę na r. 1938. Warunki i adres na końcu numeru. Przypominamy też o zaległościach.

ZE ŚWIATA SZTUKI

WYSTAWA POŚMIERTNA RUSZCZYCA

O ZASŁUGACH Ferdynanda Ruszczyca, działacza i społecznika wspominałem niedawno; dziś chciałbym mówić wyłącznie o Ruszczycu malarzu, z racji jego wystawy w Zachęcie. Celem takich zbiorowych pokazów pośmiertnych jest oczywiście chęć uczczenia dorobku zmarłego plastyka i jednocześnie podobna impreza staje się nieraz mimowolną akcją do rewizji poglądów na jego sztukę. Czy wolno i czy należy z takiej okazji korzystać?

Wyobraźmy sobie, iż jakiś plastyk żyje w naszej pamięci dzięki niezatartym wrażeniom, jakieśmy odnieśli, oglądając jego dzieła najtęższe. Potem wystawa pośmiertna, natrętnem pchaniem nam przed oczy prac słabszych i zgoła słabych bardzo to wrażenie psuje. Nikt tego nie chciał a już najmniej „komitet honorowy" wystawy — prawda? Wyobraźmy sobie również, iż współcześni, dzięki upodobaniom swej epoki, upatrywali wartość w tych cechach dzieł artysty, nad któremi potomność przeszła do porządku, twierdząc, że należy je cenić, ale całkiem za co innego.

Ten drugi wypadek musi być brany pod uwagę, gdy mowa o Ruszczycu. Lata najbujniejszej twórczości Ruszczyca przypadają na okres wzmożonego wpływu literatów na kształtowanie się sądów o plastyce. Zawsze broniłem prawa obywatelstwa treści nie tylko malarskiej w malarstwie (obraz powinien wyrażać coś więcej ponad harmonię barw i kształtów), ale muszę podkreślić zarazem, że literaci nieraz windowali pewne dzieła plastyki na takie szczyty, na jakie one, dzięki jedynie swym wartościom plastycznym, nigdy by się nie dostały. Posłużmy się przykładem. Jest na wystawie Ruszczyca obraz, wyobrażający mury, bramę uwieńczoną tarczą herbową — wszystko zasnute śnieżną zadymką. Gdyby obraz nosił nazwę „zima", lub coś w tym rodzaju, panowie literaci nie mieliby tu nic do roboty. Ale ponieważ obraz nazywa się „Przeszłość" (niby przeszłość zawarta za tą bramą...) więc literaci dopatrzą się w nim wszystkiego, czego tylko dusza zapragnie, zobaczą nawet to, czego sam autor nie widział. Nie trzeba dodawać, że wartość malarska płótna, zostanie często poprostu przeoczona. Dziś, gdy stoimy przed tym samym płótnem, widzimy, że jest to praca — co tu dużo gadać — słaba i żaden tytuł nic nie pomoże.

Widzę już (oczyma wyobraźni) zgorszone miny: ten Podoski zawsze jest nietaktowny. Nie boję się takiej opinii, bo chcę być rzetelny i nie rozumiem dlaczego blagą miałbym czcić pamięć zasłużonego artystę. Powiem więcej: widziałem na tej wystawie bardzo dużo prac malarsko kiepskich, lub zgoła przeciętnych. Chociaż w najtęższych swych dziełach Ruszczyc okazał się równie tęgim malarzem, dobrze rozumiejącym właściwości farby olejnej, wartość jego sztuki upatruję w czem innem. W sile i odrębności jego wizji artystycznej.

Aby to lepiej zrozumieć, zestawmy Ruszczyca z jego epoką. Wychowanek petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych, wyniosł z tej uczelni skłonność do podkreślania materialności i mastkości farby olejnej i pewne tendencje realistyczne. Tak inspirowany, co — jak zobaczymy później — odpowiadało jego indywidualności, wszedł Ruszczyc w epokę impresjonizmu. W czasach, gdy impresjonizm francuski, pogrążony w spekulacjach kolorystycznych, pozbawił świat cielesności i uczynił zeń barwną mgławicę, gdy polski impresjonizm, szkoły krakowskiej, zszywał pejzaż z barwnych strzępów, płasko, dekoracyjnie pojętych plam, — Ruszczyc czuje ziemię jako coś najbardziej konkretnego, materię i bryłę. Widzi jej ciało, jak urasta po krańce świata, zapełnia sobą cały prostokąt płótna, nie pozostawiając miejsca na niebo, widzi jej nawierzchnię, naskórek nagi, nie pokryty trawą i zbożem, jego rany i pęknięcia — bruzdy, jego liszaje — bajorka, kałuże, błocko gęste, lepkie i ciężkie. To jest ziemia, po której możemy chodzić i babrać się w niej, tłamsić ją buciarami, ziemia — żywioł, a nie plama barwy, pod którą niema nic.

Na jednym z obrazów bryła ziemi, prężąc swój grzbiet, pod niebem ciężkiem i chmurnem, urasta do rozmiarów symbolu, na drugim („W świat") bruzdy zoranego pola, temat najbardziej prozaiczny i malarsko niewdzięczny, spychają wszystko inne w dal. Widzimy postacie ziemi („Brzegi Wilenki". „Młyn wodny"), jakby z lotu ptaka i wtenczas już niema miejsca w obrazie na niebo.

Przez wybór tematu, przez takie, a nie inne jego zobaczenie, ujawnił artysta własną wizję świata, ustalił swój do niego stosunek. Pełen powagi realizm i jednocześnie częsta prostota motywu, szczerość bez upiększeń i płynąca z niej siła wyrazu, uczyniły pewne dzieła Ruszczyca symbolicznymi, bez uciekania się do literackich sztuczek. Prace jego cechuje także nierzadko znamię dramatyczności. Tkwi ono nieraz już w samym wyborze tematu, a także w sposobie kształtowania form plastycznych. Niema tu beztroskiej pogody, ciszy i spokoju, a jest siła, i zmaganie się. Nawet dom wiejski, azylum „wsi spokojnej i wesołej" nie kryje się w zaciszu chroniących go drzew, a stoi na otwartem wzgórzu, narażony na wichry, pod kłębowiskiem chmur. Nuta liryzmu jest w sztuce Ruszczyca zjawiskiem nieczęstem.

WIKTOR PODOSKI

DZIECIŃSTWA

W pierwszym tomiku „Poezyj", wydanych w Wilnie r. 1838 J. I. Kraszewski grupę drobnych wierszyków objął wspólnym tytułem „Dziecińtswa". Wyjmujemy stąd kilka utworów, aby czytelników przenieść w klimat poetycki z przed stu lat, w którym dojrzewał wielki potem powieściopisarz. Będzie to jakby ilustracyjna winieta do pięknego artykułu prof. I. Chrzanowskiego, zamieszczonego wyżej.

PAN I CZŁOWIEK

Jechał pan przez ulicę na tęgim rumaku,
A było błoto. —
Ja sobie szedłem w szarym kubraku
Bokiem, piechotą.
Aż słyszę, pędzi.—Aj! z drogi, z drogi!
Gotów stratować.
A więc ja w nogi,
Biegłem się schować.
Lecz pan znajomy! Co to za łaska!
Od wszystkich stroni,
A z bicza trzaska,
Woła mnie, goni.
Stanąłem —
Jedzie—Ja nisko
Kapelusz zdjąłem,
On tuż, tuż, blisko
Końskiemi nogi
Pędzi z łoskotem.
Stanął, przywitał: „Jak się masz drogi!"—
I całkiem zbryzgał mnie błotem.—
I wdaj się tu, wdaj się z panami!!
Nie roztratuje który, to pewnie poplami.

SZUFLADA I GŁOWA

Pewien uczony.
Bardzo wsławiony,
Pokazywał mi szufladę.
— „Patrz, co to ja w te papiéry
Przez lat trzydzieści cztéry,
Rozumu, nauki, kładę."
— „Ach!—ktoś na to zboku doda.
Cóż to za wielka szkoda,
Moi mili panowie,
Że rozum i nauka,
Której każdy w głowie szuka,
U tego pana w szufladzie—nie w głowie".

MONOMACHIA WIATRU

Za lasem, za górą —
Zszedł się wicher z chmurą,
Za łby się porwali,
Kto kogo powali.
Wicher się obrócił,
Chmurę w wodę wrzucił.

Chmura zapłakana
W wodzie po kolana
Oczy w niebo wznosi,
I jęczy i prosi:
— Sama wstać nie mogę,
Podnieś mnie niebogę.

Jak zaczęła prosić,
Wiatr ją chciał podnosić,
Lecz ona złośliwa
Za kark go porywa
I ciągnie w głębinie,
I sama z nim ginie.

ROZMOWA

— Dobry wieczór moja miła!
Jak się masz Halino?
Dokądżeś się ustroiła
Tak późną godziną?

— Dobry wieczór! Do kościoła,
Ślub dzisiaj w kościele.
Widzisz wianek mam u czoła,
Dziś moje wesele.

— Cóż ja pocznę, moja miła?
Jam cię kochał szczerze.
Tyś mi dotąd nie mówiła,
Że cię inny bierze.

— Wszakżeś mnie o to nie pytał,
Ani mnie się śniło,
Tym czasem inny zawitał,
Czyż odmówić było?

— I nie żal ci mnie dziewczyno?
Widzę łzę twych powiek,
O! to za mną łzy te płyną!
Jam szczęśliwy człowiek.

— O! niech ci się o tem nie śni,
Te łzy z oczu biegą,
Bom myślała, czemum wcześniej
Nie szła za innego.

WSZYSTKO MINIE

Gdzież się podziały te chwile,
Kiedym wesoły, szczęśliwy
Na łąkach ganiał motyle,
Biegał za kwiatkiem na niwy.

Dziś motylek, co tu lata,
Kwiaty, błyszczące w dolinie,
Są dla mnie obrazem świata:
Jak one — wszystko przeminie!

Zczernieją skrzydła motyle,
Kwiaty powiędną w tym wianku
I my zaśniemy w mogile,
Zaśniemy w życia poranku.

Lecz nie żal, nie żal nam świata,
Wszak dusza z nami nie zginie,
Ona do nieba ulata,
Ona jedna nie przeminie!

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

NA WIDOWNI

Totalizm a zagadnienie kultury. — Nie można zapominać o człowieku. — Istotne drogi narodowej twórczości i ekspansji. — Droga Polski.

CIEKAWA dyskusja o totaliźmie jaka rozgorzała na łamach naszego pisma coraz szersze zatacza kręgi i coraz pełniej oświetla to tak doniosłe zagadnienie; i chociaż co innego bardziejby się może na widownię dzisiaj nadawało, ja jeszcze raz do tamtej tak interesującej kwestii powrócę.

Zagadnienie jest bowiem wszechobejmujące. Sama nazwa totalizmu wskazuje, że chodzi tu o wszystko, o pewną integralność życia. I wobec tego wszelkie argumenty—za czy—przeciw muszą także sobą obejmować wszystko i dotyczyć wszystkiego. A więc kiedy już wciągnięto w tę dyskusję elementy czysto ustrojowe i polityczne i kiedy także już zadość uczyniono rozważaniem historycznym i socjologicznym — chciałbym do tej dyskusji wciągnąć jeszcze narazie brakujące a tak tu, potrzebne elementy kulturalno-cywilizacyjne, nie bojąc się przez to bynajmniej jakiegoś jej zaciemnienia, czy przeładowania.

W poprzedniej widowni p. senator Wasilewski postawił bardzo głeboką tezę, że „zadaniem ruchu umysłowego naszej doby jest przezwyciężenie chamstwa". Jest to teza kardynalna i odrazu postulująca pewne ściśle określone drogi do celu. Przezwyciężyć chamstwo można tylko humanistycznie, tylko drogą podniesienia jednostkowego człowieka. Przecież o jego wnętrze tu przedewszystkiem chodzi. On a nie kto inny będzie zawsze budował kulturę — w swoim duchowym ja przedewszystkim. I do kolektywu, do życia narodowego, społecznego, państwowego przeniknie tylko tyle treści ile jej dadzą ze siebie ludzkie dusze. Życie kolektywne tylko wtedy będzie bujne i bogate jeśli one będą wartościowe, bogate i świadome siebie. Wielkiej kultury nie stworzy nigdy organizacja mas. Tą drogą można jedynie dźwignąć piramidy, ale nic więcej. Cywilizację i kulturę dalej posunie i dalej rozwinie jak zawsze tylko sam — człowiek.

A więc narzuca się odrazu — wielkie ograniczenie dla totalizmu, jako niwelacyjnego ustroju mas. Zdecydowana opozycja przeciwko prądowi chcącemu punkt ciężkości tworzenia przenieść z człowieka na zbiorowość. Opozycja najbardziej zasadnicza, bo taki prąd to kłamliwe złudzenie. Coś organiczne nigdy nie da się zmechanizować i komórka życia społecznego zawsze tkwić będzie w człowieku. Absurdem jest zabijanie jej w imię tego, by przez to dźwignąć społeczne życie.

Chcąc więc wielkości narodu przede wszystkim dbać trzeba o wielkość człowieka, bo ta warunkuje wszelką inną. Indywidualność musi być pełna, świadoma swojej godności i przeznaczeń. Musi się cenić sama przez siebie, a nie tylko jako czynnik składowy czegoś. Ambicje kółek i trybów większej maszyny z natury rzeczy będą i ciasne i ograniczone. Ale oczywiście, że ta większa całość istnieje, i że o niej pamiętać trzeba, bo przecież są konsekwencje współżycia ludzi i negowanie ich nie jest dobrą dla rozwoju osobowości drogą.

Wiek XIX-ty poszedł nią właśnie. Dojrzał człowieka i dla niego zapomniał o Bogu, o narodzie i społeczeństwie. Ale to żadna racja, by wiek XX-ty robił za to inny, ale równie olbrzymi błąd — dla narodu zapomniał o człowieku. Prawda jest taka, że jest jedno i drugie, i wielkość jednego uwarunkowana jest ściśle wielkością drugiego. To jest jedyne rozwiązanie. Drogi inne to manowce prędzej, czy później totalnie się w swych skutkach mszczące.

Trzeba więc kulturę budować na człowieku i trzeba mu wobec tego dać wolność. Koniunktura czasów dzisiejszych żądaniom takim nie sprzyja. Jak już w poprzedniej widowni pisałem, wytworzyły się historyczne warunki narzucające w sposób totalny pewnego rodzaju niewolę. Na tem polu poczyniliśmy już nawet dosyć bolesne doświadczenia. I chociaż trzeźwo w przyszłość patrząc należy się liczyć z różnemi dalszemi ograniczeniami ludzkiej swobody — to w trosce o wielkość polskiej kultury należy koniecznie pamiętać o tak niemodnej dzisiaj wolności. Jakżeż dla mnie boleśnie aktualne są te słowa Chateubriand'a: *„La mode est aujourd'hui d'accueillir la liberté d'un rire sardonique, de la regarder comme vieillerie tombée en désuétude avec l'honneur. Je ne suis point à la mode, je pense que sans la liberté il n'y a rien dans le monde; elle donne du prix à la vie"*.

Jesteśmy narodowcami i chodzi nam o wielkość Polski. Przed ojczyzną naszą stają bardzo wielkie zadania i tem właśnie argumentuje się u nas potrzebę totalizmu. Ale co do mnie to sądzę wręcz przeciwnie, że te zadania nakazują nam jak najbardziej odchylić się od grożącego nam dzisiaj dziejowego prądu. Przerobić ten nowy nie nazbyt piękny styl możliwie najszybciej najoryginalniej i jak najbardziej po swojemu.

I ten postulat nasuwa arcyważną refleksję — do wielkiej, naprawdę oryginalnej i własnej twórczości dochodzi naród znowuż tylko przez człowieka. Każda sztuka czy literatura istotnie narodowa musi być do samej swojej głębi ludzką, rzetelnie i uczciwie przemyślaną. Musi więc być w pewnym sensie uniwersalną — dla wszystkich tworzoną i nie zamykającą się w szrankach jakiejś utopijnej narodowej czystości. Życie składa się z ciągłych paradoksów i prawa jego są prawami paradoksu. Już w ewangelii mamy naukę, że chcąc odzyskać duszę trzeba ją stracić. Trzeba więc wyjść za siebie — i tak jak wielkim jest tylko ten człowiek, co nie myśli tylko o sobie, ale i o drugich, tak samo wielkim jest ten tylko naród, co pracuje nie tylko dla siebie i który tworząc tworzy także i dla innych. Tylko taka altruistyczna postawa jest postawą ekspansywnej kultury.

Dzisiejsze Niemcy, tak sympatyczny przykład dla wielu u nas, poszły zupełnie inną drogą. Postanowiły troszczyć się tylko o siebie i budować tylko własną kulturę. I skutek tego taki, że dziś w chorobliwym zaślepieniu wyrzekają się całej swojej sławnej historii, cofając się do mrocznych prawieków. Bo rzeczywiście ani Goethe, ani święte cesarstwo nie byli „czysto germańscy" — ich wykarmiła Europa. I obłąkańcza walka o oryginalność barbarzyństwa i pewnego rodzaju dobrowolnego *ghetta* niewątpliwie jest największą dziejową klęską Niemiec. O tem się dzisiaj zapomina, ale las rąk podniesionych i gromkie okrzyki bojowe tej katastrofy napewno nie powstrzymają.

Droga Polski powinna być inna. Właśnie dlatego, że sąsiadujemy z Europą i, że Niemcy zdradziły Europę — my Europą zostać musimy. Tylko to jest właściwa droga naszej ekspansji i możliwość skupienia wokoło siebie drobnych narodów słowiańskiego świata. Winniśmy mieć zdrową ambicję dania Europie wielkiego okresu naszej kultury, tak jak w analogicznym położeniu dała jej swojego czasu swój okres Francja XVII wieku — a nie absurdalną chęć tworzenia jakiejś nawskroś oryginalnej swojej. Cóż w świecie Europy jest istotnie oryginalne? — Nic, poczynając od krzyża, jedynej prawdziwej drogi. To też gdy rozumować „oryginalnie" — trzeba iść ścieżką niemiecką — innego wyjścia nie ma.

A więc istotny trud narodowy polega na rzetelności tworzenia, ale tworzenia uniwersalnego. To co się w ten sposób buduje właśnie będzie prawdziwie narodowe, przez to że będzie tworzone przez całkowitych i istotnych Polaków. I w wielkim świecie wspólnoty kulturalnej zapożyczenie się nie hańbi. Jakżeż mało oryginalni byli Le Sage, Corneille kopiujący Hiszpanów, Racine — tragedję grecką, czy Moliére, łowiący swoje motywy gdzie się da i jak się da — a jakżeż nieśmiertelną sztukę stworzyli i jak francuskie piętno dali całemu wiekowi. Napewno gdyby pilnowali metodą hitlerowców swojej narodowej oryginalności i wystrzegali czystości źródeł swego natchnienia uwiędliby bezsławnie na narodowym partykularzu. Trzeba dobrze pamiętać, że nie tylko człowiek żyjący samotnie i pracujący tylko dla siebie jest absurdem, ale także i taki naród. *Homo oeconomicus* i „państwo odosobnione" to bliźniacze sobie fikcje. Nietylko są społeczności ludzkie, ale i narodowe.

Marzymy z całą mocą o wielkości Polski, pragniemy potęgi państwa i ekspansji narodu — a więc budujemy to wszystko na pewnych i mocnych fundamentach, tak by się ostać mogło w ścisłej zgodzie z tem czem Polska stała i czem była. Bo „nowa" Polska jest utopią — a wielkość czeka tylko tę dawną, która wielką już była i od wieków jest naszą ojczyzną. Idea Polski nie narodziła się dzisiaj, ani w maju, — ale jest czemś nawskroś realnem i odstępstwa od niej zwłaszcza w imię nacjonalizmu i narodowej wielkości są zbrodnią, której wieki nie puszczą płazem. Należy się wystrzegać obcej zarazy, łatwizny i mody i pamiętać o najważniejszym — o budującym i pomnażającym Polskę — Polaku.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

WPŁYWY KOMINTERNU WŚRÓD NAUCZYCIELI

Pod takim tytułem zamieszczono w ostatnim (8-ym) zeszycie „Biuletynu informacyjnego—Prawda o komuniźmie" źródłowy artykuł, zawierający nowe materiały, oświetlające cele i taktykę komunistów w Z. N. P.—wpływy stwierdzone w znanym oświadczeniu Premiera z d. 3.10.1937 r., formułującem przyczyny zawieszenia b. zarządu Z.N.P. (...tolerowanie i popieranie od dłuższego czasu: a) idei i tendencji wyraźnie komunistycznych, lub z komunizmem graniczących, b) pacyfizmu wśród nauczycieli i w szkolnej pracy wychowawczej, sprzecznego z założeniami interesów państwa").

Strajk protestacyjny, zorganizowany przeciwko mianowaniu kuratora, p. Musioła, rozszedł się głośnym echem nietylko po głębokiej prowincji polskiej, budząc tam nieuchronnie pierwsze, rytmiczne drgnienia rewolucyjnej fali — wywołał także szczere uznanie w oficjalnej prasie sowieckiej.

Oto, co czytamy na łamach pism tamtejszych:

...„Z rozporządzenia władz zarząd „Związku Nauczycielstwa Polskiego" zawieszony został w swych czynnościach pod śmiesznym pretekstem „przekroczenia budżetu".

...„Zarząd Związku Nauczycielstwa Polskiego" zwrócił się do swych organizacyj dołowych i do zjednoczenia klasowych związków zawodowych z apelem, w którym wzywa do protestu przeciwko tej brutalnej samowoli, mającej na celu faszyzację „Związku Nauczycielstwa Polskiego". Urzędnicy centralnych organów kierownictwa „Związku Nauczycielstwa Polskiego", w liczbie 350 osób, na znak protestu ogłosili strajk i zajęli lokal „Zw. Nauczycielstwa Polskiego„ w Warszawie".

„Wczoraj odbyła się konferencja przedstawicieli Centralnej Komisji Zjednoczenia Klasowych Związków Zawodowych „Z.Z.Z." oraz kierownictwa zjednoczenia zawodowych związków urzędników państwowych. Konferencja jednogłośnie przyjęła rezolucję, w której domaga się od rządu zniesienia represyj w stosunku do zarządu „Związku Naucz. Polskiego". („Trybuna Radziecka" nr. 135, Moskwa z d. 4.X 1937 r.).

„Wszystkie szkoły w Warszawie są dziś zamknięte. Otrzymano wiadomość, że strajki nauczycielskie odbywają się również we Lwowie, w Łodzi, w Wilnie, Lublinie i w całym szeregu innych miast Polski". („Trybuna Radziecka" nr. 136; Moskwa, z d. 6.X 1937 r.).

„Masowe wystąpienie nauczycielstwa polskiego jest wydarzeniem o wielkim znaczeniu politycznym. Świadczy ono o tym, że szerokie masy polskiej inteligencji drobnomieszczańskiej przeszły do otwartej walki politycznej przeciwko reakcji faszystowskiej, występującej pod postacią „Obozu Zjednoczenia Narodowego", na którym opiera się rząd".

„Strajk nauczycielski znalazł żywy oddźwięk w masach robotniczych Polski, żądających ogłoszenia powszechnego strajku solidarnościowego w celu poparcia wystąpień nauczycieli".

„Wczoraj w Warszawie odbył się masowy robotniczy wiec antyfaszystowski... robotnicy... którzy w okrzykach z miejsca żądali ogłoszenia powszechnego strajku protestacyjnego przeciwko przedsięwziętej przez rząd „reorganizacji" związku nauczycieli. Rzucone na wiecu hasło: „Niech żyje front ludowy", podchwycone zostało przez wszystkich zebranych"...

„Na wiecu rozpowszechniany był biuletyn komitetu strajkujących nauczycieli i urzędników centralnego aparatu „Związku Naucz. Polskiego".

„Biuletyn wymienia szereg organizacji nauczycielskich i robotniczych, które nadesłały strajkującym rezolucje o swej solidarności z nauczycielami. W biuletynie zaznacza się, że zbieranie środków na rzecz strajkujących odbywa się pomyślnie"...

„Dziś w Warszawie cały dzień toczyły się narady w prezydium Centralnego Komitetu Zjednoczenia Klasowych Związków Zawodowych. Na posiedzeniu prezydium stoi sprawa ogłoszenia powszechnego strajku na znak solidarności ze strajkującymi nauczycielami". („Trybuna Radziecka" nr. 136, oraz „Prawda" nr. 275 z d. 5.X 1937 r., Moskwa).

Czyż można się dziwić tej niekłamanej sympatii bolszewików dla wyczynów grupy, rządzącej w Z. N. P.

Przecież akcja strajkowa, sprowadzająca w rezultacie rewolucyjne rozkołysanie mas, idzie właśnie po linii zamierzeń kierowanej przez Komintern, Międzynarodówki Pracowników Oświatowych („*L'Internationale des Travailleurs de l'Enseignement*, Paris"), t. zw. I. T. E., organizacji, wyzyskującej swe szerokie wpływy międzynarodowe dla ugruntowania komunizmu w szeregach nauczycieli.

Na podstawie Biuletynu I. T. E. za miesiąc lipiec 1935 r. można się łatwo przekonać o częstych manifestacjach ulicznych, organizowanych w obronie interesów materialnych nauczycielstwa, marszach na siedziby administracji szkolnej lub na zebrania wyborcze.

Te... analogie i pokrewieństwa z zagranicą winny wreszcie obudzić, zapóźnioną i tak, opieszałą, jak zwykle, czujność społeczeństwa.

Czujność ta, zwłaszcza w stosunku do komunistów napotyka na specjalne utrudnienia, w postaci ciągłej zmiany taktyki Kominternu. Od „rządu dusz", w najszerszych masach przeszedł on teraz do koncepcji inspirowania inteligencji, w pierwszym rzędzie nauczycieli.

Dowiadujemy się zaś z pewnego źródła, że odbyło się ostatnio w Paryżu zebranie Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii Polski, na którym ustalono nowe wytyczne i rzucono nowe hasło do spopularyzowania na gruncie polskim. Ma to być „walka przeciwko polskiemu faszyzmowi"; posłuży ona do zjednoczenia mas ludu miejskiego i wiejskiego, „których patronami są równie dobrze Jezus Chrystus, jak Lenin i Stalin". Czasowo nawet oczekuje się zawieszenia walki z Kościołem Katolickim, dla tym łatwiejszego uzyskania wpływu na masy.

Szczytem obłudy tego nowego chwytu propagandowego agentów czerwonej Moskwy jest w danym wypadku usiłowanie współdziałania z Kościołem.

Szczegółowe informacje o działalności Kominternu wśród polskich nauczycieli znajdziemy w świeżo wydanej publikacji p. Henryka Glassa „Wpływy Kominternu wśród nauczycieli. Materiały oświetlające cele i taktykę komunistów w Zw. Nauczycielstwa Polskiego". W-wa 1937.

Nabyć ją można w lokalu Centr. Biura Porozumienia Antykomunist. Kredytowa 16 m. 25.

PAGÓREK KIRTIKLISA

W nad wyraz smutnej kronice procesów, które prokuratura wytoczyć musiała po kolei starostom pomorskim, znalazł się epizod, który obudził powszechną wesołość. Umiemy być wdzięczni za tę chwilę wesela w czasie słotnego i ciemnego przedzimia.

We wszystkich tych procesach nieszczęśliwi starostowie powoływać się musieli na dyrektywy i rozkazy swego wojewody p. Kirtiklisa, który przez szereg lat — pomimo protestów ludności władał Pomorzem.

Aż nareszcie w procesie starosty z Kartuz p. Czarnockiego zobaczyliśmy woj. Kirtiklisa w apoteozie, stojącego na górze kartuskiej w posągu bronzowym, widnego na całą Polskę.

A było to, jak zeznał jeden ze swiadków, bardzo wzruszające. Przytoczymy to zeznanie według sprawozdania „Warsz. Dzien. Narod.":

Okazuje się, że pagórek pod Kartuzami, z którego roztacza się widok na całą „Szwajcarię Kaszubską", nazwano „wzgórzem wojewody pomorskiego Stefana Kirtiklisa." Na owym pagórku odbyło się uroczyste położenie kamienia z odpowiednim napisem. W uroczystości tej brał udział osobiście woj. Kirtiklis. Na pagórku wygłoszono szereg przemówień i odbyło się ogólne całowanie. Wojewoda był z wyboru miejsca pod jego pomnik bardzo zadowolony. Jednak do Czarnockiego zwracał się później aby kamień zastąpiono porządniejszym, trwalszym pomnikiem. Sekretarz wojewody przysłał na jego polecenie Czarnockiemu fotografię, na podstawie której miano wykuć pomnik Kirtiklisa z kamienia, który stanąłby na owym pagórku, ku jego pamięci. Miał on być z kamienia wykuty lub odlany z bronzu.

Czarnocki potwierdził, że była to sprawa, o której nic nie wiedział. Przygotował to wszystko adw. Szlachcikowski. Szlachcikowski na owym pagórku w obecności kilku osób wygłosił przemówienie, w którym sławił zasługi Kirtiklisa dla Pomorza i zainaugurował całowanie się wszystkich uczestników uroczystości z p. woj. Kirtiklisem.

Czarnocki twierdzi, że po założeniu owego kamienia na pagórku miał z woj. Kirtiklisem dużo zmartwienia, gdyż wojewoda często nalegał, aby wybudowano pomnik solidny. Czarnocki kazał budowniczemu Gołuńskiemu wyszukać odpowiedniego rzeźbiarza. Kamień na wzgórzu wojewody Stefana Kirtiklisa oraz uporządkowanie owego pagórka opłacił Gołuński z funduszu drogowego Wydziału Powiatowego w Kartuzach.

Gdyby ogłosić konkurs na obrazkową symbolikę naszych stosunków, pierwszą nagrodę dostałyby Kartuzy za ten pomnik. „Pagórek Kirtiklisa" wejdzie do kolekcji anegdot obok rewizora z Petersburga i szewca z Koepenig, że nie wymienimy innych.

O TOTALIZM

Z kół młodzieży otrzymujemy przyczynek dyskusyjny:

MODNE dziś zagadnienie totalizmu ze względu na swój charakter wymaga specjalnego podejścia. Trudno bowiem rozważać totalizm jako pojęcie oderwane. Totalizm nie jest ideą celu, lecz ideą środka, to znaczy, że idea totalizmu nie może sama w sobieześrodkować dążeń, nie może być celem jako taka, a wskazuje tylko pewien kierunek czy sposób do osiągnięcia celu.

W tym pojęciu totalizm nie może pretendować do roli zagadnienia zasadniczego a tylko drugorzędnego.

W czasach zasadniczych jednostka czynna nie może zająć stanowiska kompromisowego: — albo się jest katolikiem, albo nie; albo się jest narodowcem — albo nie, na coś pośredniego, jakieś umiarkowania miejsca nie ma. Co innego gdy chodzi o kwestie drugorzędne — tu stanowisko pośrednie nie tylko jest dopuszczalne, lecz bardzo często słuszne, gdyż skrajność i jednostronność mija się często z trzeźwo ujętą rzeczywistością.

Nazbyt pochopne entuzjastyczne hołdowanie totalizmowi budzi poważne zarzuty. Najwyższym naszym dobrem jest Bóg, cel ostateczny każdego; najwyższym dobrem tu na ziemi, owym *finem ultimum* wśród celów doczesnych — naród.

Stąd płynie to pierwszorzędne znaczenie katolicyzmu i idei narodowej w życiu jednostek i społeczeństwa. Dlatego każdy zdrowy prąd, czy doktryna, której podmiotem jest życie jednostki lub zbiorowości, musi być zgodne w zasadach z katolicyzmem i nacjonalizmem, i w ramach tych generalnych pojęć się zawierać. Pominięcie przy słowie totalizm „narodowy" i „katolicki" lub też stawianie totalizmu jako „prądu ideowego, porywającego masy do czynu i heroicznych wysiłków", jednym słowem zawierającego w sobie ideę celu, stwarza mi bożka, dla którego niema miejsca w hierarhii celów człowieka. Tak pojęty totalizm przekracza swe ramy i staje w kolizji z nacjonalizmem, który jest i będzie ogniwem dążeń grup i środowisk, celem największych, najszlachetniej-

szych porywów. Totalizm może tu występować tylko jako bardzo pożyteczny, ale pokorny pomocnik.

Czy stawianie totalizmu jako idei celu nie sprzeciwia się trzeźwo przyjętej rzeczywistości? Katolicyzm może się legitymować milionami męczenników, idea narodowa spotyka się na każdym kroku z daniną życia i krwi, największymi z ofiar doczesnych; czy znajdzie się gdzie człowiek, który w imię totalizmu włoży śladem Rzymian swą prawicę w ogień?

Proszę mnie nie brać za wroga totalizmu. Nie mam bynajmniej zamiaru go zwalczać.— Przeciwnie, w trosce oń pragnę tylko sprostować jaskrawą przesadę jaka się w to pojęcie wkradła. Jeśli występuję z krytyką, to ta krytyka odnosi się nie do totalizmu, jako takiego, a tylko do niewłaściwej moim zdaniem interpretacji tego zagadnienia. Wrogowie nasi rzucają dziś gromy na totalizm,— nic dziwnego, biedna demokracja conajmniej krzywym okiem wita gościa, który w swym pochodzie coraz namacalniej daje się we znaki starej weterance. Te właśnie ataki zmasonizowanej prasy budzą po drugiej stronie reakcję, wyrażającą się w nazbyt zapalczywym kulcie totalizmu.

W atmosferze polemiki prasowej bardzo łatwo wpaść w zapamiętanie i broniąc jakiegoś poglądu nazbyt daleko się zagalopować, przez co dostarcza się znów atutów przeciwnikowi. Stanowczo za dużo poświęca się dziś miejsca na kruszenie kopii w obronie totalizmu, a za mało widać usiłowań rzeczowego ujęcia zagadnienia, poznania jego istoty i uświadomienia sobie czym właściwie jest totalizm, a czym być nie może.

Jeśli chodzi o totalizm stosowany w polskiej rzeczywistości, to musi on trzymać się granic, jakie mu zakreślają katolicyzm i nacjonalizm.

Wyciąganie go poza te tamy, na skutek braku podstaw, sprowadzi go do rzędu pustych frazesów w rodzaju państwowo - twórczości i innych sanacyjnych fabrykatów idei. Wcielając zasady totalizmu w nasze życie narodowe nie możemy się wzorować na żadnych obcych systemach: 1) aby nie popełniać cudzych błędów, 2) pamiętać, że nawet rzeczy dobre dla Włocha czy Niemca mogą być szkodliwe u nas. Powstaje czysto indywidualny sposób rozwiązania zagadnienia, zgodnie z duchem i charakterem naszego narodu, przy czym naczelną zasadą powinna być: jedność poparta w razie potrzeby siłą i przymusem w rzeczach zasadniczych, w podrzędnych — wolność, tamowana moralnością i poczuciem obowiązku.

SZYMON CZAPLIŃSKI

NAUKA I LITERATURA

Z ŻAŁOBNEJ KARTY
LITERATURY FRANCUSKIEJ

W OSTATNICH paru tygodniach literatura francuska straciła trzech ze swoich wybitnych przedstawicieli, dwóch poetów: Françis'a Vielé - Griffin'a i Raula Ponchon'a oraz krytyka literackiego — René Doumic'a.

Wszyscy trzej należeli do najstarszego pokolenia piszących; Vielé-Griffin zmarł w 74 roku życia, R. Doumic przeżył 77 lat, a Ponchon 89.

Vielé-Griffin był, zdaje się, ostatnim już z licznego, przed trzydziestu kilku laty, grona poetów symbolistów, jednym z najznakomitszych tej szkoły reprezentantów. Zmarły zaczął tworzyć w b. młodym wieku, a pierwsze zbiorki jego poezyj ukazują się, szybko jeden za drugim, w latach 1885—1892 („*Cygnes*", „*Cueille d'Avrie*", „*Joies*", „*Diptique*" *etc. etc.*)

Oryginalnością natchnienia, energią wyrazu, doskonałością formy narzucił się odrazu uwadze krytyki ówczesnej, która zaliczyła go, po pierwszych próbach, do tych wśród młodego pokolenia, co wnoszą do twórczości pierwiastki odnowy, wróżące dobrze o dalszym jej rozwoju.

Ch. Maurras pisał podówczas o nim: „Sztuka jego jest krótka i zwarta, jest on jednak jej władcą. Rzeczy, rymy, słowa nie są mu narzucone przez widoki życia lub wspomnienia symbolo-parnasowskie. On dokonywa wśród nich wyboru, co też sprawia, iż udaje się mu złożyć fragmenty bardzo rzadkiej doskonałości".

Pojawienie się w r. 1893 poezyj p. t.: „*La Chevauchée d'Yeldis*" potwierdziło nadzieje pokładane w młodym poecie i zapewniło mu jedno z czołowych miejsc w ruchu symbolistycznym. Z biegiem lat pozbywał się V. G. niektórych wyłączności tego kierunku i nieraz zawracał na tradycyjne tory poezji francuskiej, co też spotkało niejednego symbolistę (np. Régnier i t. p.)

*

Innego gatunku poetą był R. Ponchon, nie reprezentował bowiem żadnej z istniejących w jego czasach szkół, żadnego oficjalnego kierunku poetyckiego, chyba kierunek niezależności twórczej, w zgodzie wszakże z tym, co było trwałym od wieków dorobkiem i cechą główną Muzy francuskiej. „Było w nim — powiada o zmarłym jego kolega z Akademii Goncourtów, Leon Daudet — coś z Villona i Gerarda de Nerval'a, jakaś urocza mieszanina żartobliwości i fantazji lirycznej". Chociaż uprawiał głównie dziennikarstwo poetyckie, t. j. pisał kroniki rymowane, poświęcone sprawom aktualnym (od 1886 r. w pismach „*Courrier français*", „*Le Journal*", „*La Presse*" i t. d.) wnosił w te swoje bezpretensjonalne utwory tyle świeżości oraz szczerości uczuć, tyle finezji myśli lotnej, humoru i niepowszedniości spostrzeżeń, a w dodatku taki niezrównany artyzm, że mistrze ówczesnej poezji, jak np. Moréas nazywali Ponchon'a „prawdziwie wielkim poetą", co też stwierdzali niejednokrotnie również i nie byle jacy krytycy (np. Ch. Maurras, I. Bainville.)

Hojną ręką rozrzucał Ponchon na wszystkie strony przez kilkadziesiąt lat swoje wiersze, nie przywiązując do nich większej wagi, i tylko małą ich cząstkę, ulegając namowie przyjaciół, wydał w zbiorku „*La Muse au Cabaret*", który jest swego rodzaju arcydziełem.

Kto przypomni sobie bodaj jeden utwór z tej książki, zatytułowany „*Le vin de mon ami*"—ten się napewno zgodzi z powyższym określeniem i przyzna autorowi miano—„prawdziwie wielkiego poety".

Z niezwykłym darem poetyckim łączył zmarły niezależność ducha, prawość charakteru i dobroć serca, wolnego od złości i uprzedzeń, żyjącego dla przyjaźni.

*

Jednocześnie z R. Ponchon'em, tak wolnym od wszelkiej oficjalności oraz rygoryzmu w rzeczach twórczości artystycznej, zmarł ich wybitny rzecznik w literaturze, członek Akademii francuskiej, długoletni dyrektor „*Revue des deux mondes*", krytyk i historyk literatury René Doumic.

Rozpoczynał zmarły swoją działalność literacką wówczas, kiedy we Francji koryfeusze krytyki (Lemaitre, A. France i t. p.) uważali ją za „środek do czytania książek z możliwie największą przyjemnością", lub do „opowiadania przygód własnej duszy po przez arcydzieła". Takiemu pojmowaniu zadań i celów krytyki przeciwstawił się Doumic od początku swej kariery literackiej i wytrwał na zajętym

stanowisku aż do jej końca. Reprezentował on, konsekwentnie i nie bez talentu, krytykę zasad i reguł, kryteriów wyrozumowanych i opartych na doświadczeniach tradycji, przeciwstawiając ich autorytet zmiennym upodobaniom i kaprysom krytyki impresjonistycznej.

Nie był jednakże R. Doumic jedynie bezwzględnym strażnikiem uświęconych tradycją form i kierunków twórczości, i chociaż zwalczał stanowczo rozmaite ekstrawagancje, zboczenia i anomalie nowych „młodych" prądów i kierunków w sztuce umiał być względem nich sprawiedliwym, niepotępiał z góry, lecz starał się je wyrozumieć, oceniając słusznie to, w czem objawiała się prawdziwa ich wartość.

Pisał o nim Wł. Jabłonowski (patrz studium o książce „Wśród obcych", 1905 r.): „Rodzaj krytyki Doumic'a nie porwie nas świetnością stylu, bądź paradoksalnością myśli, nie rozentuzjazmuje do dzieł umysłu ludzkiego, potrafi jednak, w wielu wzpadkach, uchronić czytelnika od przejęcia się dziełami wątpliwej wartości, które tylko dzięki modzie zostały postawione w pierwszym szeregu etc."

Wszystkie prawie studia R. Doumic'a wyszły w książkowym wydaniu. Oto tytuły niektórych: „*Portraits d'Écrivains*"; „*Écrivains d'Aujourd'hui*"; „*Les Jeunes*"; trzy serie „*Études sur la littérature française*"; „*De Scribe à Ibsen*" i t. d. Jedną z ostatnich większych prac Doumic'a była książka o Georges Sand. Do ostatka dni swoich pisywał zmarły kroniki teatralne w „*Revue des deux mondes*".

Pozostawia po sobie spuściznę obfitą, jeśli niezbyt świetną, to w każdym razie mogącą być z dużym pożytkiem dla badaczy literatury francuskiej między innymi z drugiej połowy XIX wieku. W. J.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Hołd Leopardiemu wielkiemu poecie Włoch, z powodu stulecia jego śmierci, składał w ubiegłym tygodniu warszawski „Instytut kultury włoskiej" („*Instituto di Cultura italiana*"). Podczas uroczystości zostały wygłoszone dwa odczyty: dyrektor Instytutu, prof. A. Stanghellini, mówił o „Miłości i śmierci w poezji Leopardi'ego", a prof. Mieczysław Brahmer o „Leopardim a chwili współczesnej." Ten zwłaszcza odczyt, wygłoszony po polsku przez młodego uczonego powołanego świeżo na katedrę literatury włoskiej w Uniwersytecie stolicy, ukazał Leopardi'ego w należytym świetle, rozwiewając uparte o nim mniemanie jako o beznadziejnym pesymiście i duchu zrezygnowanym wobec nędzy i zła świata. Prelegent rzucił snop światla na wręcz odmienną istotę moralną poety, co też dało go nam poznać jako bojownika ideału życia tradycyjnego, miłości odrębnej duszy narodu swego oraz walki ze złem powszechnym.

W ten sposób związał prelegent Leopardi'ego z prądami doby współczesnej i uwydatnił znaczenie jego twórczości w jej walkach ideowych.

*

Nagrodę miasta Poznania w kwocie 5.000 zł otrzymał w tym roku popularny fejletonista Stanisław Wasylewski. — Nagrodę literacką związku literatów w Wilnie przyznano Witoldowi Hulewiczowi.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wydanie ważniejszych „Pism" Romana Dmowskiego, przedsiębrane przez księgarnię A. Gmachowskiego w Częstochowie, posuwa się naprzód. Obecnie wyszedł już tom trzeci (VII) „Świat powojenny i Polska". Wydanie bardzo starane, pod okiem autora dokonywane, na trwałym papierze, w wytwornej oprawie — stanowić będzie w całości (9 tomów) podstawę księgozbiorów w domach polskich. W najmniejszym zbiorze ksiąg pisma Dmowskiego powinny się znaleźć na pierwszym miejscu.

Są to księgi, w których się streszczają wyniki wielkiej pracy, jaką wykonała w ostatnich latach kilkudziesięciu polska myśl polityczna. Powołaniem było Dmowskiego uczynić z siebie organ tej myśli. On się w nią wcielił i oddał narodowi zobiektywizowaną, nieosobistą. To nie jest literatura — to ofiara życia, autor bowiem życie w to włożył, aby naród do myśli politycznej doszedł. Nic osobistego nie miał nigdy na celu.

Książka „Świat powojenny i Polska", wydana była w r. 1931 trzykrotnie. Autor każe ją uważać za zbiór artykułów, nie za dzieło jednolite w budowie. Jest jednak jednolite z racji wewnętrznej. Dzieli się na dwie szęści: 1) Gospodarstwo, 2) Polityka. W pierwszej traktuje o przesileniu gospodarczym, w drugiej zaś są kwestie: 1) Przeciw wojnie, 2) Rosja, 3) Kwestia ukraińska, 4) Niemcy a Polska, 5) Kwestia żydowska, 6) Ogólny rzut oka.

Wkrótce ukaże się t. VIII „Pism" z traktatem, stanowiącym uzupełnienie tomu poprzedniego p. t. „Przełom".

Przypomnieć należy, że w sprawie prenumeraty całości i nabycia pojedyńczych tomów zwracać się należy do księgarni A. Gmachowskiego w Częstochowie, ul. Dąbrowskiego 59. Pierwotne warunki prenumeraty opiewały: zł. 45 (wraz z przesyłką) za wydanie tańsze i zł. 84 za wytworne. Oba wydania w oprawie. Potem miały być ceny podniesione do 65 i 125 zł.

Najwspanialszy to prezent na gwiazdkę choćby każdy tom z osobna.

*

Koło Kielczan, stowarzyszenie b. wychowańców szkół kieleckich (najstarszy kończył szkołę w 1864 r.) daje innym regionom chlubny przykład pietyzmu dla tradycyj szkolnych, dla swego miasta i okolicy. Do ważniejszych zadań swoich Koło zalicza wydawanie „Pamiętnika". Oto teraz ukazał się tom VII tego przemiłego wydawnictwa za lata 1936 i 1937.

Treść tego tomu (str. 123 i ilustr.) bardzo interesująca nietylko dla Kielczan. Czerpać tu może pełną dłonią historyk. Na uwagę zasługują prace: dr. Stefan Frycz „Miasto Żeromskiego", dr. Juliusz Nowak-Dłużewski „Wymowa szpargałów" (z dziejów Arian w Rakowie z początku XVII w.), Eleonory Fryczowej „Front nad Nidą" (zapiski codzienne z wielkiej wojny), potem następuje szereg wspomnień kieleckich: ś. p. Drymmera, G. Wędrychowskiego, E. Zienkowskiego, dr. T. Rakowskiego. Nekrologi kolegów, sprawozdania z działalności Koła zamykają ten bogaty, doskonale zredagowany rocznik.

*

Ukazało się w druku dzieło Hoene-Wrońskiego „Filozofia matematyki". (Wstęp do filozofii matematyki oraz technia algorytmii). Przełożył, przedmową i przypisami opatrzył Paulin Chomicz. Prace Tow. Hoene-Wrońskiego. Instytut Wyd. „Biblioteka Polska", Warszawa 1937. Str. 12+V+279+10 nlb. W tekście portret Hoene-Wrońskiego i tablica architektoniczna matematyki. (Cena 25 zł.)

Tłumacz określa doniosłość dzieła tymi słowy:

„Dzieło to, o znaczeniu epokowym, należy do największych kreacji ducha ludzkiego. Porównać je można chyba tylko z „Elementami" Euklidesa, „*Organonem*" Arystotelesa, „*De revolutionibus orbium coelestium*" Kopernika, z „Krytyką czystego rozumu" Kanta. O ile jednak tamte monumentalne systematy myśli ludzkiej mają współzawodników: Euklides w Łobaczewskim i Riemannie, Arystoteles we współczesnej logistyce, Kopernik w Ptolomeuszu, Kant w Kartezjuszu, to dzieło niniejsze stanowi *unicum* w dziejach wiedzy. To jedyny systemat filozofii matematyki. Ta jego ekskluzywność jest rezultatem odkrytej przez Hoene-Wrońskiego absolutnej metody filozoficzno naukowej, Prawa Stworzenia. Na fundamencie tej metody spoczywa gmach wrońskistycznej filozofii matematyki.

„Odkrycie Prawa Stworzenia jest zjawiskiem niepowtarzalnym w historii myśli ludzkiej. Matematyka, jak *scientia eorum quae clara sunt*, wykazuje dobitnie znaczenie tego Prawa. Stąd niezrównana doniosłość niniejszej „Filozofii matematyki. Zarazem dzieło to jest koniecznym wstępem do wszystkich innych dzieł matematycznych Hoene-Wrońskiego".

FILM

EUROPA: „Życie ulicy", reż. Frank Borzage.

Utwór żywy i zajmujący, o sporych wartościach filmowych. Wymowne filmowo, pełne ruchu i zgiełku jest życie ulicy wielkiego amerykańskiego miasta. Bohaterami opowieści są szoferzy, a wątku do fabuły dostarcza walka stowarzyszonych kierowców z niezrzeszonymi. Na tym tle widzimy młodą parę małżeńską, zakochaną w sobie po uszy; scenki z nią, zostały znakomicie przez aktorów zagrane, a jeszcze lepiej ujęte przez reżysera. Dzięki temu mamy miłość na filmie w relacji pozbawionej wszelkiego szablonu (a właśnie takie sceny grzeszą często przeraźliwym banałem), uroczą, nasyconą sentymentem bardzo dyskretnym, a zarazem niepozbawioną humoru. Te fragmenty, tchnące świeżością i pełne wyrazu, pozwalają zapomnieć o innych, sporządzonych już wedle recepty, np. o scenach narad szoferów, rozmówkach w gabinecie prowodyrów i t. p.

Świetny Spencer Tracy, jako szofer, był stuprocentowo prawdopodobny, natomiast znakomita aktorka Luiza Reiner, w roli jego żony, miała w sobie coś niepokojącego. Nie chciało się wierzyć, aby to była taka sobie, zwyczajna kobiecinka; jej maska kryła coś bardziej skomplikowanego.

Fotografia bardzo dobra.

ŚWIATOWID: „Ostatni pociąg", film amerykański.

Zdaje się, że ten film nie został należycie oceniony przez publiczność, a szkoda, gdyż posiada wielorakie zalety, zarówno w zakresie formy, jak treści. Także i sens moralny wysnuty z treści jest krzepiący.

Odbywając się bardzo dobrze bez t. zw. „gwiazd", odrzucono też system jednej, lub kilku głównych ról. Jest to film wygrany młodym materiałem aktorskim, o wielu rolach równorzędnych. Całość składa się z szeregu scenek, skontrastowanych ze sobą w nastroju i wyrazie. Nie służą one rozwojowi akcji, raczej rysują środowisko i różnorakie typy ludzkie. Każda dodaje jakiś rys charakterystyczny do obrazu, nerwowej atmosfery miasta na linii działań wojennych. Ma to być ostatni pociąg z oblężonego Madrytu, ale nie ma tu wojny, a nawet niektórzy narzekają, że za mało Hiszpanii. Nie o to jednak chodzi. Zamiast pokrywania okropności, wszystkich tragedii i okrucieństw wojny domowej, reżyser pragnął przypomnieć, że w obliczu niebezpieczeństwa rodzi się również bohaterstwo i poświęcenie, a przyjaźń i miłość mogą zajaśnieć najpiękniejszym blaskiem.

Mimo tak krzepiącego sensu, obraz całości ma miejscami barwy posępne i smutne. Jak bezradny uśmiech dziecka błądzi w nim jowialna postać młodego Amerykanina, dziennikarza i jego „sekretarki."

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. ANDRZEJ STRUG
(TADEUSZ GAŁECKI)

ZMARŁY powieściopisarz należał do tego pokolenia, które wciąż przed oczami miało żywemi: klęskę i pogrom 63 r. Reagowało na ten, głęboko w obolałej pamięci schowany, uraz bądź piórem bądź ruchem zbrojnym, z natchnień powstańczych wyrosłym.

Przywykliśmy nazywać je pokoleniem romantycznem nie dostrzegając jednostek, odbiegających od ogólnego szablonu, zdobywających z trudem własny, odrębny wyraz.

Nierzadko łączy się nazwisko Struga z świetnem imieniem Żeromskiego, który, jak wiadomo, wytworzył szkołę *exemplum* — wczesne opowiadania Marii Dąbrowskiej („Szkiełko"), także pokaźna część twórczości Gustawa Daniłowskiego. W danym wypadku byłaby to nietylko krzywda, wyrządzona artyście, jednemu z bardziej oryginalnych w nowożytnem powieściopisarstwie polskiem, ale i błąd jeśli chodzi o wykrycie postawy wewnętrznej pisarza wobec centralnego układu wydarzeń w niezbyt dlań odległej przeszłości.

Chodzi o to, że tragiczny gest Żeromskiego z „Ech leśnych" i opowiadania „Rożdziobią nas kruki, wrony" pełen jest dziwnego czaru, właściwego dawnym Polakom — tym, „co są piękni". Ten patos śmierci i bohaterstwa z legendy skończył się bepowrotnie wraz ze zmianą struktury kraju, nadejściem czasów nowych, w których, wyorywane podczas budowy plantów kolejowych, gmachów fabrycznych i wiaduktów, kości poległych nie budziły już wzruszenia, bliskiego temu, jakiego doznał jeszcze w podobnej sytuacji Piotr Rozłucki.

I tak, pokrewna tematycznie „Echom leśnym" — „Mogiłka" Andrzeja Struga odmienną, antiromantyczną zdradza wówczas postawę.

Nasuwa mi się tutaj porównanie z innej dziedziny, które dla ilustracji przytoczę. Oto, żołnierska rzeczowość bohaterów „Mogiłki" przywodzi na pamięć batalistyczne obrazy Maksa Gierymskiego, owe: zasadzki, czaty, rekonesanse, mające za temat kampanię r. 1863. Równie one odbiegają nastrojem i wewnętrznem napięciem od heroicznych postaci Grottgera.

Przełamywanie postawy romantycznej można zaobserwować u Struga na drugim, jakże charakterystycznym utworze.

„Ojcowie nasi" to dzieje powstańca z r. 63, więzionego w katordze na Syberii, jakże dalekie tonu np. „Szkiców" Adama Szymańskiego lub „Siedem lat katorgi" czy „Ciernistym szlakiem" Szymona Tokarzewskiego, odbarwione z aureoli patriotyczno religijnego męczeństwa, przenoszące punkt ciężkości na psychologię walczącego i cierpiącego człowieka oraz na związane z niedawnym ruchem zbrojnym zagadnienia socjalne.

Tadeusz Gałecki urodzony w 1873 r. zaczął pisać na początku tego stulecia. Jedną z najpierwszych jego prac była charakterystyka Stefana Żeromskiego, nadesłana na konkurs wydawnictwa „Wiedza i życie" we Lwowie i odznaczona pierwszą nagrodą. Pisząc tę książkę zbliżył się z Żeromskim.

Później wydał wiele powieści i zbiorów nowel; z tych godniejsze zanotowania: „Ludzie podziemni", „Jutro", „Ze wspomnień starego sympatyka", „Kronika świeciechowska", „Żółty krzyż", „Klucz otchłani" i in.

Politycznie b. mocno związany z lewicą, brał czynny udział w życiu publicznym. Poglądom swym dawał wyraz w twórczości, z tego też względu można mówić o tendencyjności jego powieści, jak np., z dużym zresztą talentem napisanego „Żółtego krzyża", przepojonego niedawnej daty liberalnym pacyfizmem.

Sympatyczną stroną artysty był spory zasób odwagi cywilnej, wypróbowanej w niejednem starciu z dawnymi towarzyszami broni.

Ze Strugiem schodzi do grobu jeden z tych, wychowanych w liberalnym kanonie ludzi, którym jasność spojrzenia na najbliższe, ojczyste środowisko mąciła wszechwładna doktryna, a odżywcze soki, czerpane z przeszłości zatruwała antytradycyjna, nieorganiczna awersja do uporczywie nachodzących wyobraźnię wspomnień.

ST. J.

W ROZMÓWNICY

„NIE TĘDY DROGA"

W artykule prof. W. Tarnawskiego pod powyższym tytułem znalazło się zdanie, przypisujące żartobliwie w projekcie ordynacji wyborczej Zarzewia postulat, aby kandydat musiał przedłożyć 1000 uwierzytelnionych podpisów, jakiemuś rejentowi. W związku z tym otrzymaliśmy od jednego z najpoważniejszych przedstawicieli Notariatu polskiego list, który przesłaliśmy prof. Tarnawskiemu, ten zaś odpowiedział następującym wyjaśnieniem:

„Jest mi przykro, że stylizacja mojej krytyki projektu Zarzewia wywołała niezadowolenie w sferach, których dotknąć nie miałem bynajmniej zamiaru. Proszę przyjąć zapewnienie, że odróżniam szanownych i mających za sobą rzetelne zasługi zawodowe i obywatelskie przedstawicieli Notariatu od osób, które w ostatnich latach weszły do tego stanu dzięki swym zasługom politycznej natury. Łączę wyrazy wysokiego poważania.

Lwów — Prof. Dr. WŁADYSŁAW TARNAWSKI

POKŁOSIE

CUCHNĄCE OPARY

PROCESY o nadużycia wszelkiego rodzaju, jakich dopuszczały się osoby urzędowe ciągną się nieprzerwanym szeregiem, a jakiś przyszły kryminolog, zebrawszy je w osobną grupę, charakteryzując pozbawione odpowiedzialności rządy, wywieszające na swym szyldzie „sanację”, będzie rozporządzał statystyką niebylejakich rozmiarów...

W procesie St. Starzyński contra Wł. Studnicki, wytoczonym przez pierwszego o zniesławienie, wypłynęła sprawa kartelu drożdżowego i okoliczności, towarzyszących jego powstaniu. Obrońcy wyliczyli, że ten swoisty monopol na wyrób drożdży (istniejący zresztą dotychczas) pozwolił czterem czy pięciu rodzinom żydowskim „zarobić”, czyli ściągnąć ze społeczeństwa haracz w sumie około 108 milionów złotych; w ten sposb powstało w ciągu niewielu lat kilka olbrzymich fortun żydowskich.

Kto to zrobił. Nie wiadomo. Wszyscy mówią: „nie ja”. Nieco ściślej oznaczono beneficjantów: stwierdzono, iż oprócz właścicieli uprzywilejowanych drożdżowni odnosiła korzyść strona trzecia, a jako jej przedstawiciel figuruje Janusz ks. Radziwiłł, na którego ręce kartel wypłacił pół miliona złotych. Przytoczono na procesie rozmowę, jaka miała mieć miejsce między płk. Sławkiem i ks. J. Radziwiłłem w tej sprawie. Płk. Sławek miał powiedzieć, że lepiej będzie gdy pieniądze zostaną wpłacone na imię księcia, gdyż jego, jako magnata nikt nie posądzi o to, że wziął do własnej kieszeni. Rozmowa ta nie została jednak poparta dowodami dokumentalnymi, więc jedynym niewątpliwym przedstawicielem ugrupowania, ciągnącego korzyści z tego swoistego opodatkowania społeczeństwa, pozostaje na placu Janusz ks. Radziwiłł. Była mowa o innych jeszcze sumach, ale na wyjaśnienie trzeba będzie chyba czekać do jakiegoś przyszłego procesu, a i to jest nie pewne, gdyż jeden z posiadaczy tajemnicy, prokurent kartelu, zmarł nie przesłuchany.

W ten sposób opinia społeczeństwe została powiadomiona w zupełnie kategorycznej i nie ulegającej wątpliwości formie o tem, że członek najwyższej arystokracji, szef obozu zachowawczego zgodził się na odegranie roli pośrednika w inkasowaniu pieniędzy. Czy odegrał jakąś czynniejszą rolę w montowaniu tej „kombinacji”, zdobycia pieniędzy na akcję wyborczą—nie wiadomo, można tylko utrzymywać iż tę kombinację chwalił, skoro zgodził się na rolę pośrednika.

Te pół miliona złotych wyglądają marnie wobec 108 milionów, zagarniętych przez kartel, ale to nie jest oczywiście okolicznością łagodzącą, raczej przeciwnie obciążającą, bo wykazuje za jak drobne sumy poświęca się interesy ogółu. Suma taka wcale nie fantastyczna, mogłaby być zebrana przez obóz zachowawczy składający się z ludzi nie biednych, na akcję polityczną w kierunku, uznanym przez ten obóz za właściwy, i to byłoby zupełnie w porządku. Ale tak, z cudzej kieszeni, z wykorzystaniem autorytetu państwa...

Mówi się dziś dużo i z żalem o zanikaniu autorytetu ziemiaństwa w naszym społeczeństwie, o rozkładzie tej warstwy, jako czynnika społecznego. Jakże jednak ma być inaczej skoro samo ziemiaństwo rezygnuje z samodzielnej roli czynnej. Budżet naczelnej organizacji rolniczej, mającej piękne tradycje, stanowią dziś same subwencje, w których własny wysiłek finansowy stowarzyszonych jest jak kropla w morzu. Tu znów tak reprezentacyjny przedstawiciel tej sfery przyłącza się do korzystających z subwencji żydowskiej, oczywiście nie bezinteresownej. Czy to jest droga do odrodzenia?

Ubiegłej niedzieli odbył się zjazd stronnictwa zachowawczego. Ks. J. Radziwiłł był tam referentem politycznym, nie został jednak wybrany na prezesa, chociaż ostał się w zarządzie. Interesujące jest, czy na tę degradację wpłynął ten kartelowy czek na pół miliona?

Nie wygląda jakoś na to, a szkoda, bo to mogłoby choć trochę poprawić reputację tych sfer. Dziś opinia jest bardzo czuła na takie sprawy, jak puszczanie w pacht żydom lukratywnych interesów kosztem ogółu. Czy ma dojść do przekonania, że nic się nie zmieniło na lepsze od tych czasów, kiedy to miasta nasze broniły się przeciw najazdowi żydowskiemu, a możni panowie stawali temu naprzeciw, osadzając Żydów na własnych „jurydykach” tuż za bramami miejskimi? Te 108 milionów nowych fortun żydowskich bardzo przypomina ten starożytny proces. Wznowiła go może inna warstwa, ale tolerował i korzysłał zeń przedstawiciel dawnej.

ARGUS

NA MARGINESIE

Pewien dziennikarz „polityczny”, dostarczający korespondencyj „własnych” z Londynu, z Paryża, z Bukaresztu i t. p. do naszych dzienników, chciał swym czytelnikom wyłożyć, że: „podsuwanie myśli o zakończeniu jeszcze nie zupełnie ściśle określonego odwołania, bez podania dokładnego czasu, jest właściwie ostatecznem zaprzeczeniem swoiście wysuwanego zagadnienia z zakresu prawniczego”.

Tak mniej więcej miało być. Zdanie trochę przytrudne do rozgryzienia — więc dziennikarz warszawski, aby to „jeszcze trudniej było zgadnąć” — napisał tę rzecz w ten sposób:

„Suggerowanie desygnowanej finalizacji jeszcze nie sprecyzowanej dezawuacji *sine die*, jest właściwie definitywnem zdementowaniem specyficznie lansowanego problemu w resorcie legislatywnym”.

Czytelnik oszołomiony. Jakże miło mieć do czynienia z prasą w wielkim stylu.

*

A oto innego rodzaju wzór publicystyki:

W dziennikach sanacyjnych jakiś filut kpiący z redaktorów zamieszcza informację polityczną:

„Jak się dowiaduje Ag. Echo [?], rozeszły się pogłoski w sferach politycznych, jakoby grupa ludzi zbliżonych do prof. Rybarskiego miała wystąpić ze Stron. Narod. i zgłosić swoje przystąpienie do Stron. Pracy”.

Motywy plotki łajdackie, ale że wydawcom chce się płacić za taką tandetę!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.